ŁOWIEC POLSKI



Pierwszy śnieg. Fot. Wł. Korsak.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 51—52 (605). 20 GRUDNIA 1930 R.

Sąd leśniczego.

Młody hrabia X mówi do stojącego obok leśniczego, który się składał do krążącego jastrzębia:

— Zdaje mi się, że niepodobna go będzie ściągnąć.

Leśniczy: — Dla pana hrabiego niema niepodobieństwa.

Manufacture Liégeoise d'Armes à Feu Liége

Fabryka broni założona w 1866 r.

Fabryka otrzymała najwyższe odznaczenia na wszystkich wystawach, w których brała udział:

Liége 1905: „Grand Prix" i Medal Złoty
Petersburg 1902: „Grande Médaille"
St. Louis 1904: „Grand Prix"

Medjolan 1906: „Grand Prix"
Bruksella 1910: „Hors Concours" i „Membre du Jury"
Turyn 1911: „Grand Prix"
Rio de Janeiro 1922: „Grand Prix"

OSTATNI SUKCES: Międzynarodowy Konkurs Strzelania do żywych gołębi.

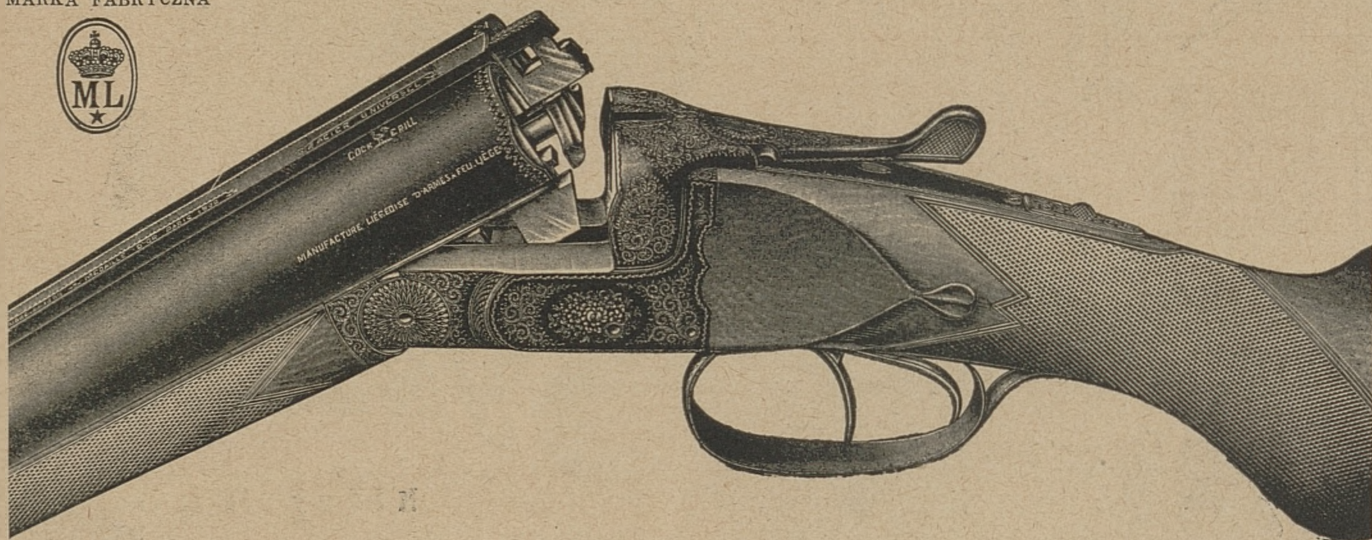
GRAND PRIX, m. LIZBONY, Październik 1930 r.

Pierwszy: Pan Manuel Abreu
Drugi: Pan Luiz Infante da Camara.

Obydwaj strzelali z broni Manufacture Liègeoise d'Armes à Feu

MARKA FABRYCZNA





Manufacture Liégeoise d'Armes à Feu podaje rezultaty prób dokonanych z lufami ze stali „ACIER UNIVERSEL COCKERILL" dnia 22 lutego 1930 r. na Stacji Doświadczalnej Broni w Liége w obecności Komisarza Rządowego dokonywującego najwyższy dozór nad wyrobem broni w Belgji p. J. Fraikina:

1) Przy próbach na wytrzymałość luf ze stali Acier Universel COCKERILL, strzelając ładunkiem 2.9 gr., prochu bezdymnego i 50 gr. śrutu, co przekracza dozy, jakie wytrzymać mogą bez nadwerężeń normalne lufy myśliwskie, aparaty Stacji Doświadczalnej zanotowały ciśnienie 2000 klg. na kw. cm.

2) Przy próbach na wytrzymałość luf ze stali Acier Universel COCKERILL, strzelając ładunkiem 3 gr. prochu bezdymnego i 50 gr. śrutu, ciśnienie było tak wysokie, że nie mogło być dokładnie określone. Niemniej, na 4 lufy, poddane takiemu przekraczającemu zwykłe możliwości, strzelaniu, trzy lufy pozostały bez wszelkich uszkodzeń. Dalsze strzelanie nie było kontynuowane ze względu na niebezpieczeństwo uszkodzeń aparatury Stacji Doświadczalnej.

KONKLUZJA: BRONIE MANUFACTURE LIÉGEOISE D'ARMES A FEU Z LUFAMI ZE STALI ACIER UNIVERSEL COCKERILL DAJĄ PP. MYŚLIWYM MAKSIMUM GWARANCJI.

Bronie Manufacture Liègeoise d'Armes à Feu są do nabycia we wszystkich lepszych składach broni.

Skład główny: ROBERT ZIEGLER Warszawa, Trębacka 10.



Alfred Wierusz-Kowalski: Napad wilków. Z salonu sztuki S. Jasielskiego w Warszawie.

GDY LIŚĆ NA BUKACH ZAPŁONIE...

Żadna pora roku nie podlega tak krańcowym zmianom jak jesień.

Zmiany, które malują u nas, w Polsce krajobraz jesienny, można podzielić na cztery okresy.

Trzy okresy każą płacić smutkiem i tęsknotą, pierwszy natomiast pokrywa i wynagradza niedobór, a ma czem płacić, gdyż pławi się w bogactwie i skarbach barw, blasków i woni.

Owe bezsłoneczne dni, to jesień — szaruga, od której ucieka słońce za zwały mgieł i chmur, a gdy czasem przez jakieś okienko wyjrzy, to tak dyskretnie i nieśmiało, jakby mu nie wolno było rozbijać szarzyzny i mroków, ziemię utulających.

Przeistacza się ona czasem w płaczkę, żałobnicę, siejącą z nisko krążących chmur, — bezustanne strugi deszczu, jakby chciała ziemię pokutnicę obmyć z grzechu niedawnych żarów, gorących pragnień i pożądań; czasem znów w złośliwą i mściwą sekutnicę, która wysyła swe wichry, targa i miota nimi, a choć niemiłosiernie chłoszcze, mimo to sama skarży się jękiem i stękliwem narzekaniem.

Prawdziwa jesień to już ten okres, gdy opadną liście z drzew, gdy pola i lasy stoją nagie, opustoszałe, ogołocone ze swych skarbów, gdy zaścielające drożyny i ścieżki liście, które niegdyś tak wysoko bujały, po odłączeniu się od swej macierzy i życia, bezdomne, tułają się w upadku i poniżeniu, po zaułkach, lub niesione podmuchem wiatru, — stają się jego igraszką.

Na dusze ludzkie pada wówczas smutek i żal za czemś, co nas opuściło. — Nierzadko zabłyśnie i łza w przypadającym w tym okresie pustki, dniu Zadusznym, na intencję tych, którzy jak słoneczne dni wiosny lub lata, z naszego życia odeszli.

I ostatni etap jesieni przed zimą, gdy zszarzałe i zczerniałe pola oraz stojące szkielety drzew przygotowują się i wyczekują na bliską chwilę, w której biały całun spadnie na skostniałą i zmartwiałą ziemię, ukoi ją i do snu utuli.

Powyższe okresy jesienne wyprzedza „polecie".

Są to pełne czaru i uroku, słoneczne dni we wrześniu, a nieraz i w październiku, które niosą z sobą coś z wiosny, coś z lata i stroją całą przyrodę w taki przepych barw, jakby chciały wynagrodzić sieroctwo coraz smutniejszych i bardziej szarzejących łąk i pól.

W górach śród wirchów, gdzie pól uprawnych mało, polecie stwarza takie widoki i obrazy, jakich nie da żadna inna pora.

Powietrze czyste i przejrzyste, kolor nieba, przechodzący od seledynu w ciemną toń błękitu, a nad tem wszystkiem słońce, które choć swym żarem nie pali, jednak za to dziwnie intensywnie wszystko złoci.

Śród ciemnego tła zieleni jodeł i świerków odbija się płonącą czerwienią — wstęga buków, którą jakby złotą klamrą, spina gdzieniegdzie jasny liść jaworu lub klonu.

Z matowo zielonych połonin i łąk, przyprószonych jakby płatkami śniegu, białoliljowym, jesiennym świetlikiem błyszczą srebrem swych rzęs, wielkie oczy dziewięciornic, a wzdłuż krawędzi borów chylą się szafirowe kielichy gencjan. Choć liście im zżółkły,— kwiat jeszcze pełen życia i krasy. I witać Cię będą rankiem perły rannych ros i srebrne nici, rozsnute po łąkach; poić Cię będzie silna, żywiczna woń iglastych borów i skoszonych łąk, owionie Cię powiew górskiego wichru, w którym czuje się także jakąś dziwną, orzeźwiającą moc.

A słońce nie skąpi swego złota.

Tu jako rybak, w starym lesie bukowym zapuści swą sieć złocistych oczek pod płomiennem u góry wiązaniem, tam znów jako złotnik, przetopi liście jaworu na złoto, gdzieindziej wtargnie zwycięsko w głębię boru świerkowego i jako szczodry szafarz, zajrzy wszędzie, nawet w niedostępne zbocza i potoki.

W tym okresie polecia, śród tego najpiękniejszego, jakby z baśni czarodziejskiej wyjętego otoczenia, które ta pora w górach stwarza, odbywa się w ostępach karpackich wirchów huczne weselisko. H u c z n e! Towarzyszą mu bowiem okrzyki godowe.

Odzew, który jeleń tylko w czasie rykowiska wydaje, niesie bądź to oznajmienie się łaniom, miłosne oświadczyny, z tęsknem wezwaniem połączone, bądź też okrzyk bojowy.

Gdy już ma swe miłośnice, usłyszeć można nieraz pomruk zadowolonego zdobywcy.

Czasem w okrzyku zabrzmi inna nuta: zazdrości lub zawiści, albo groźba użycia siły, czyli wyzwanie do walki.

Wirchy, pozatem tak ogromnie ciche w swych wielkich przestrzeniach, śród których cichnie i zamiera, zanim jeszcze powstał, — wszelki jęk, zgaszony łapą lub żarłocznych szczęk ujęciem, — w czasie rykowiska — jakby ożyły.

Szumią i huczą.

Z oddali, o zmierzchu, nocą lub z brzaskiem dnia



Nierówny 14-tak (8 kg. 20 dk). Fot. St. W. Orski.



Widok ze szczytu Tatarówki na Magórę w Libohorze.
Fot. St. W. Orski.

niesione falą powietrzną, płyną poryki tęskne, miłosne, albo bojowe.

Żyją wówczas i dyszą góry ze swymi stokami, przełęczami, potokami całą pełnią bujnie tętniącego życia, a szczyt szczytowi opowiada o godach wirchowych królewiąt.

Kto wyczuł to tętno przyrody i przypatrzył się przejawom życia jednego z najwspanialszych stworzeń górskiej fauny, — nie zapomni nigdy tego wrażenia.

Z jednej strony piękno otoczenia i czar górskiej przyrody, z drugiej niezwykłe gody, widok wodzących się orszaków weselnych (chmar), interesujące objawy „intrygi i miłości" w świecie zwierzęcym, którym nierzadko przypatrzeć się można, sprawiają, że czujesz się, jakby w innym, zaczarowanym świecie, oderwany od życia przyziemnego, od dusznego środowiska zgiełku, wrzawy, a często brudu i nędzy.

Z młyna, w którym ściera i miele się życie, wchodzisz na krótki czas w życie czyste, nieskażone, szczere, w spółbytowanie z przyrodą.

Kto pił z tego źródła wrażeń, nurzał się w blaskach słońca i wichrach, śród cudów przyrody, nie zazna spokoju w tym czasie, zawsze go nęcić będą górskie wirchy, choćby zgóry wiedział, **że wróci bez złomka jedliny** *).

Wchodząc w ten świat, dostrajasz się doń rytmem swej duszy.

Czy stąpasz po łąkach, połoninach, czy wchodzisz w stary las bukowy o słupach, kolumnach, cienistych arkadach, mając u góry sklepienie z różu, błękitu i złota... jakby do gontyny, tak, że bezwiednie przyciszasz głos, by uszanować majestat świątyni,... czy wchodzisz w tajemniczy, gotycki labirynt jodeł i świerków... — czy o brzasku dnia śledzisz morze mgieł,

*) Gałązkę jedliny podaje w czasie rykowiska myśliwemu, który położy jelenia, towarzyszący mu gajowy.

ponad które wystają tylko wyższe szczyty, jak okręty niesione falami, — czy o zachodzie wpatrzysz się w ostatnią pieszczotę, którą słońce śle wirchom, tuląc je w różowe i liljowe mgławice... czy uchem łowisz rytm szemrzących potoków, koloraturę górskich wirchów, gdy wysokie tony bieżącej wody łączą się z niższymi, które wydają spadające w głębszy nurt strumienie... czujesz się tak blisko Boga, jak nigdy w żadnej świątyni, wzniesionej ludzkiemi rękami, gdyż podziwiając, — odczuwasz piękno i majestat przyrody stworzonej przez Boga.

Korząc się, uwielbiasz w niej jej Pana i Stwórcę!

I dziś, choć czas głowę przyprószył siwizną, blask godów i uciech życia przybladł i nie mami oczu, jak dawniej — te same uczucia i wrażenia przejmują duszę, jak wówczas, gdy poraz pierwszy w życiu przed kilkudziesięciu laty zamieszkałem w szałasie, śród gwiazd, słońca i nieba.

Ten sam błogi spokój i jakieś dziwne ukojenie przejmowały nerwy, gdy strudzonego wieczorem usypiał dalikatny poszum liści, szemranie potoków, a nieraz i mamrotanie żerujących dzików.

To samo drżenie wywoływał budzący ze snu, grobowy okrzyk puhacza, lub odbierające resztki snu, groźne stękanie i poryk jelenia, oznajmiającego się łaniom.

A była to wówczas tylko cząstka tych wrażeń, jakie w całej pełni można odczuć tylko na górskich wirchach.

W górach, zjawia się choć nieproszonych dużo na weselne gody gości.

Z głębokich ostępów górskich przewali się czasem zwierz o długich, brunatnych kudłach, gość poważny, który wysuwając swą trąbę w górę, potrafi zdaleka wyczuć, czy nie nadarzy się gdzieś w czasie weseliska jakaś wyżerka. Miś idzie na gotowe, fatygować i męczyć się nie lubi, zwierzyny nie ściga; za wielki pan i za wygodny sybaryta, by zapuszczać się w uciążliwe łowy.

Mięso dlań to przysmak przygodny, gdyż głównem pożywieniem jagody, ale jeśli śród walki lub przy innej sposobności padnie płowy zwierz, zwietrzy go już zdala.

Cichcem przysunie się na wesele gość o jarzących oczach, bury rabuś, a nawet cała ich rodzina. Umie on chodzić; podsuwając się, brzuchem przylgnie do ziemi, przyczołga się bez szmeru i szelestu, i wypatrzy, czy się nie da czego uszczknąć z orszaku weselnego.

Biada miłośnicy, która niepomna na niebezpieczeństwo, zejdzie w ustronie, z pobliża swego władcy, lekceważąc jego przestrogi, lub odmówi posłuchu przodownicy, dbającej o całość i bezpieczeństwo jeleniej chmary.

Śród górskich uroczysk zabłysną wnet białe kości odbitej od godowego orszaku łani.

Nierzadko zjawi się gość z górnych przestworzy, — wielki przedni orzeł, a krążąc nad chmarą i zawisnąwszy nieruchomo, — wykorzysta zaniedbanie matki, która śród uciech miłosnych zapomina o dziecku, zostawiając je na uboczu.

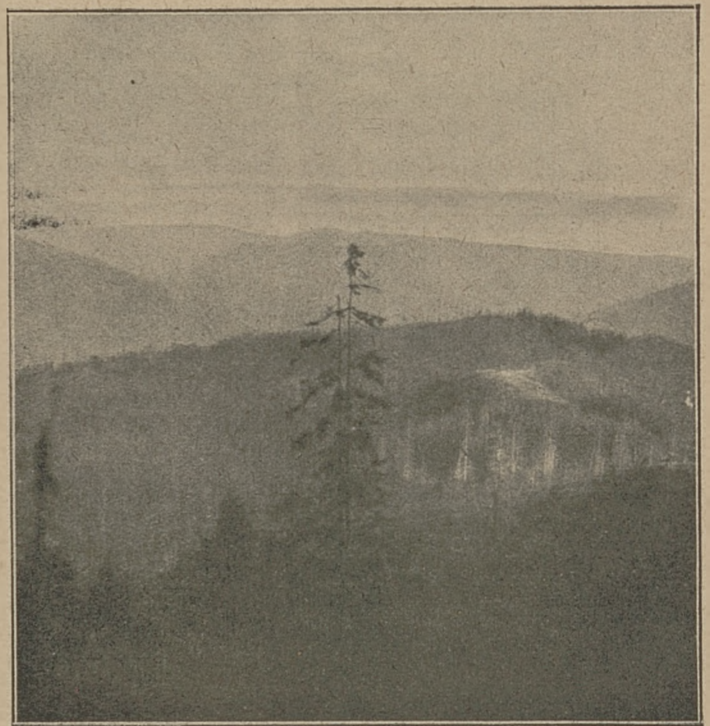
Ja kpiorun, spadnie na jelonka, zapuści swe szpony w kark, a dziobem jak młotem, uderzy w głowę i bić będzie, dopóki ofiara pod nim nie padnie.

Często podpełznie także gość o bystrem oku, kocich ruchach, jak wąż, zwinny i gibki, z pędzelkami na uszach — ryś, który wykorzystując weselne nastroje, zapuści swe pazury w stojące na uboczu łankę lub cielaka.

Jeszcze jeden gość weselny... człowiek, nieodrodny syn swych prarodziców, czerpiących w spółbytowaniu z przyrodą, z niej swe środki na utrzymanie i wyżywienie rodziny.

I w nim się coś wyzwala, co przymulone kulturą, ale przekazane dziedzictwem — każe jego sercu uderzyć w jeden rytm z tętniącym w przyrodzie rytmem życia i śmierci.

ST. W. ORSKI.



Widok z Tatarówki na Magórę w Libohorze.
Fot. St. W. Orski.

K Ł U S O W N I K.

(Opowieść na tle prawdziwego zdarzenia).

Szymonowa już po raz trzeci conajmniej dzisiaj wyszła przed chatę i bacznie spoglądała w stronę lasu. Zniecierpliwienie widniało na jej twarzy. Przed nią bieliło się puste, śniegiem pokryte pole, sięgające aż pod obszerny, zaledwie o kilka staj odległy las sosnowy.

— Już tak późno, a jeszcze go niema, — mówiła półgłosem do siebie, wracając napowrót do izby, — u Ćwiklików już wieczerzę spożywają, a mego z lasu jak nie widać, tak nie widać.

W izbie na kominku suty palił się ogień i oświetlał obszerną, czystą izbę, wśród której stał stół nakryty

białym, z grubego, swojskiego płótna obrusem. Naokoło siedziało czworo drobnych jeszcze dzieci. Szymonowa krzątała się koło wieczerzy. Toć to dzisiaj wigilja Bożego Narodzenia, to i jadło, chaciaż postne, było sute. Wyjęła więc najpierw z szafki oszklonej, starannie owiniętą w papier paczkę opłatków i na środek stołu położyła. Potem zajrzała do syczących przy ogniu garnków.

— A no, wszystko gotowe, a pewnie i smaczne będzie, — mówiła zamyślona, stojąc przy kominku. — Co też ten Szymon tak długo robi w borze? Żeby mu się tylko co złego nie stało. Zawsze mu odradzałam, żeby dla tych kilku marnych zajęcy lub jakiej lichej sarny, tak się nie narażał. Dzięki Bogu, jeść mamy co, ale u niego to wszystko nic, żyłka wciąż go do lasu ciągnie. Wie dobrze i nawet nieraz sam mi o tem mówił, co za wielka może go spotkać kara, gdyby go schwycono, a jednak chodzi i chodzi. Dawniej to było co innego, stary Jacenty, nasz kumotr i dobry przyjaciel, kiedy spostrzegł jego idącego ze strzelbą do lasu, to z umysłu w inną stronę pobiegł, żeby się czasem z nim nie spotkał. Ale teraz, ten nowy gajowy, to Bóg wie, jakim jest człowiekiem.

Szymonowa wybiegła znów przed chatę, lecz po chwili jeszcze więcej zniecierpliwiona do izby wróciła.

— Skaranie Boskie, czy co? — Niepokój ogarniał ją coraz większy. Podeszła do ognia, lecz po chwili znowu do okna pobiegła. Na dworze ciemno już było zupełnie.

Wreszcie wrócił i Józef.

— Ojca ani widać, matulu, — zawołał już od progu, — ale słyszałem strzelanie.

— Daleko?

— Nie wiem, matulu, ale coś mi się zdawało, że w stronie leśniczówki, dwa razy, jeden po drugim.

— Dwa razy, i to pod leśniczówką? Toć tam mieszka nowy gajowy. Matko Najświętsza, zmiłuj się nad nami.

Tu Szymonowa przyklękła przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i gorąco modlić się zaczęła. Kilka razy zdawało jej się, że słyszy kroki przyciszone, ale było to tylko złudzenie, bo mąż z lasu nie wracał.

*

* *



Ranny wilk. Fot. Róża ks. Czetwertyńska.

Mąż Szymonowej był średnio zamożnym gospodarzem, nie posiadał zbyt wiele gruntu i dobytku, lecz za to był trzeźwy i pracowity, to też powodziło mu się nieźle. Jedyną jego wadą była namiętna żyłka myśliwska, a że nie miał własnego polowania, nawiedział więc ukradkiem sąsiednie lasy skarbowe i często z bardzo obfitą zdobyczą wracał do domu. Żona nieraz mu wymawiała tę grzeszną, jak się wyrażała, a przytem niebezpieczną wadę, ale on twierdził, że zwierzyna to nie własność żadna, bo ją Pan Bóg zarówno dla wszystkich ludzi stworzył, a więc to nie kradzież. Przytem uspokajał ją swą zręcznością w unikaniu pogoni i zapewniał, że jeszcze ten gajowy się nie urodził, któryby go na gorącym miał schwytać uczynku.

Sąsiedzi wprawdzie często szeptali pomiędzy sobą o jego samowolnych polowaniach, domyślano się tego

nawet w zarządzie lasów państwowych, ale że Szymon rzeczywiście był nadzwyczaj zręcznym i przebiegłym chłopem, i udowodnić mu było trudno, że na kłusówkę chodził, więc też otwarcie go o to napastować nikt nie śmiał.

Dotychczas nawet nie było także rzeczywistego niebezpieczeństwa. Gajowy, najbliższy szymonowej zagrody położonego rewiru, stary Jacenty, był dalekim powinowatym Szymona. A że lubił i zjeść i wypić dobrze, a Szymon przy każdej sposobności nie omieszkał go ugościć i nie szczędził mu ani jadła ani napitku, więc też Jacenty odwdzięczał mu się za to, na wszystkie sprawki Szymona patrząc przez palce. Rozzuchwaliło to Szymona tak dalece, że gdy nawet po śmierci Jacentego nastał nowy, nieznany mu gajowy, nie zaprzestał swych częstych wycieczek, ufając jedynie w swą zręczność i przebiegłość. Dzisiaj znowu pod wieczór zakradł się do lasu.

— Zanim wieczerzę przyrządzisz, — mówił do żony, — wrócę zapewne, a przynajmniej na parę dni mięsa znów mieć będziemy. I tak już dosyć dawno nic nie ubiłem, a obawiać się nie potrzebujesz. Dzisiaj Wigilja, dzień uroczysty, to i nasz gajowy zapewne w domu siedzieć będzie, bo komuby się w takim dniu po lesie włóczyć chciało.

Szymonowa, jak zwykle, tak i teraz mu odradzała. Szczególnie dzisiaj miała jakieś niepojęte, złe przeczucie. Ale nic to nie pomogło. Szymon jeszcze śmiać się z obawy jej zaczął, zabrał strzelbę i ukrywszy ją pod sukmaną, ścieżką do lasu podążył.

— — — — — — — — — — —

Na starym zegarze w chacie Szymona wybiła ósma godzina. Dzieci, wygłodzone całodziennym postem, niecierpliwie poczęły wołać o jedzenie.

— Cała wieczerza popsuta, — mówiła Szymonowa, — i to wszystko dla tej grzesznej jego osobliwości. Dał Pan Bóg dzieci, dał im też co zjeść i czem się przyodziać, a nie potrzeba się do grzesznego uciekać zarobku. Bo czy tak, czy owak, zawszeć grzechem pozostanie, przecież lasy nie nasze, to i zwierzyna do nas nie należy. — Naraz usłyszała przed chatą głośne i przyśpieszone kroki. Czyżby to Szymon miał być?

Dawniej przecież wracał ukradkiem, ażeby go który z sąsiadów nie spostrzegł. Nie, to pewnie nie on. Serce jej zabiło gwałtownie. W sieni usłyszała głośne stąpanie i drzwi do izby z trzaskiem się rozwarły. Szymonowa aż krzyknęła z przerażenia. Na progu stanął w tej chwili jej mąż Szymon, ale zmieniony do niepoznania. Wrócił bez strzelby i czapki, ręce miał krwią zbroczone, odzież i włosy potargane. Drżał na całem ciele jak listek, a twarz pokryta trupią bladością, zdradzała rozpacz i przestrach zarazem.

— Jezusie Nazareński! — krzyknęła Szymonowa, — co się stało?

Szymon zamiast odpowiedzi, postąpił kilka kroków naprzód i rzucając się na łóżko, zakrył twarz rękoma.

— Com ja uczynił, com ja uczyni! — wołał głosem ochrypłym. — Zabiłem go, zabiłem, o ja nieszczęsny!

— Mężu, Szymonie, na miłość Boga, mów, co się stało? Kogoś zabił? Powiedz mi, — i pochwyciła oburącz głowę jego i gwałtownie do drżącej piersi przycisnęła. — Szymonie, — poczęła prosić łagodnie, a łzy jej jak groch, po twarzy spadały, — powiedz mi, co się stało w lesie. Uspokój się, nie szalej tak; jeśliś zgrzeszył, to pomódl się lepiej i uspokój się.

Szymon począł ciężko oddychać. Po chwili głowę podniósł, oczy dotąd dzikie i zrozpaczone, nabierały powoli wyrazu niezmiernej boleści i skruchy.

— Żono, — począł zcicha — com ja uczynił, nieszczęsny! Bóg mnie bardzo ciężko skarał, bom mimowoli popełnił zbrodnię. Już pewnie dzień ostatni z wami jestem, jutro przyjdą po mnie, przed sąd zawiodą i za śmierć zapłacę śmiercią. A ty płakać po mnie nie będziesz, bo wstręt uczujesz do człowieka, który ręce w niewinnej krwi ludzkiej ubroczył, i przeklinać mnie będziesz za to, że całą rodzinę okryłem hańbą.

— Mój Boże, — szeptała Szymonowa. — A prosiłam cię zawsze i mówiłam, nie chodź, to obraza Boska, to grzech, co czynisz, ale tyś ani słuchać nie chciał, i tak się to skończyć musiało.

— To straszne, — mówił Szymon, — co za widok okropny, jeszcze mi jego blada, skrwawiona twarz ciągle stoi przed oczyma. Poszedłem dzisiaj nad wieczorem do lasu. Myślę sobie, dzisiaj tam nikt pilnować nie będzie, to się głębiej zapuszczę i dogodniejszego poszukam stanowiska. Podsunąłem się aż w okolicę gajówki. Nadarzył mi się spory kozioł.



Oczy mi się zaświeciły na jego widok. Bez namysłu strzeliłem i zabiłem odrazu. Zabrałem się potem do wyprawienia. Strzelbę oparłem o drzewo obok siebie i już prawie miałem robotę skończoną, gdy nagle posłyszałem kroki za sobą. Przestraszony podniosłem się szybko z ziemi i odwróciwszy się, poznałem gajowego, tego nowego. Blada twarz jego aż świeciła w zmroku wieczornym, a szedł spokojnie ku mnie, chociaż był bez broni, i tylko kij miał w ręku. Strach mnie opętał. Myślę sobie: Pewnie nie poznał mnie jeszcze, wymierzę do niego, może się przelęknie i odskoczy, bo mi drogę zastawiał, a ja wówczas uciec zdołam. Chwytam więc dubeltówkę i mierzę do niego. Bóg mi świadkiem, że tylko straszyć chciałem. Ale na nieszczęście, zamiast odwieść kurek u wystrzelonej lufy, odwiodłem w pośpiechu kurek nabitej jeszcze. A tu, jak na własną zgubę, gajowy nie cofnął się, lecz zbliżył się do mnie na kilka kroków. Strzał huknął i gajowy bez jęku rozwalił się na ziemię. W tej chwili księżyc wyjrzał z po za drzew, widno się zrobiło. Patrzę, a tu przedemną leży trup gajowego. Twarz miał bladą, a z czoła krew mu się sączyła. Włosy mi stanęły na głowie, strach mnie ogarnął śmiertelny, stałem, jakby do ziemi przykuty; patrzę na niego. Wreszcie strzelba z ręki mi wypadła, a brzęk jej przestraszył mnie jeszcze bardziej. Zdawało mi się nagle, że szatan już po mnie rękę wyciąga. Począłem uciekać, nie wiedząc sam gdzie i dokąd. Długo biegałem tak po lesie i sam nie wiem, jak się tu dostałem. — Szymon zamilkł i jeszcze patrzył przed siebie, a wyrzuty sumienia odezwały się z całą siłą. Blady trup gajowego stał mu ciągle przed oczyma.

Nagle stanął jak wryty. W drzwiach ukazał się jakiś człowiek. Szymon za głowę się chwycił, błędne oczy utkwił w przybyszu i przeraźliwym wrzasnął głosem:

— Duch! Duch!...

Przybyły smutnie się uśmiechnął. Był to mężczyzna w podeszłym już wieku, o bladej twarzy. Czoło przewiązane miał chustką, na której widniały ślady krwi. W ręku trzymał strzelbę Szymona i tę ku niemu wyciągnął.

— Duchem nie jestem, — począł mówić spokojnie, ocierając sobie krew sączącą się z pod chustki. — Bóg mnie ocalił. Źleście mierzyli, nabój tylko drasnął mi czoło, ale mnie ogłuszył. Po chwili już przyszedłem do siebie. Wiedziałem, kto mnie zranił, bom was poznał, zanim wystrzelić zdołaliście. Pierwszą myślą moją było pójść do sołtysa, oddać mu strzelbę waszą i władzy was przekazać, co nawet obowiązkiem moim było. Lecz postąpiłem inaczej. Słyszałem o was, żeście poczciwym człowiekiem. Myślę sobie, pewnie nie ze złej woli, lecz z przestrachu to uczynił. Żal mi się was zrobiło, a szczególniej waszej żony i biednych dzieci. Jam człek nie mściwy, nieszczęśliwym uczynić nikogo nie chcę. Oto macie strzelbę, ja wam swoją krzywdę z serca daruję, ale przyrzeczecie mi, że od dnia dzisiejszego zaprzestaniecie polować na cudzem.

Gajowy oparł strzelbę o ścianę i podszedł do łóżka, nad którem wisiał mosiężny krzyżyk. Zdjął go ze ścianly i zbliżył się do Szymona.

— Na ten święty znak przysięgnijcie mi tutaj, że od dzisiejszego dnia zaniechacie nieprawnego polowania.

Szymon porwał gajowego za rękę i gorąco całować począł, poczem drżącym głosem żądaną przysięgę powtórzył.

Gajowy, uśmiechnąwszy się, zawrócił szybko i zanim jeszcze Szymonowie podziękować mu zdołali, już znikł za drzwiami.

W chacie Szymona długo w nocy się jeszcze świeciło. Przed obrazem Ukrzyżowanego modliło się dwoje ludzi, szczęśliwa żona i z niecnego rzemiosła nawrócony Szymon.

Była to pamiętna Wigilja w jego życiu.

— — — — — — — — — — —

Północ się zbliżała.

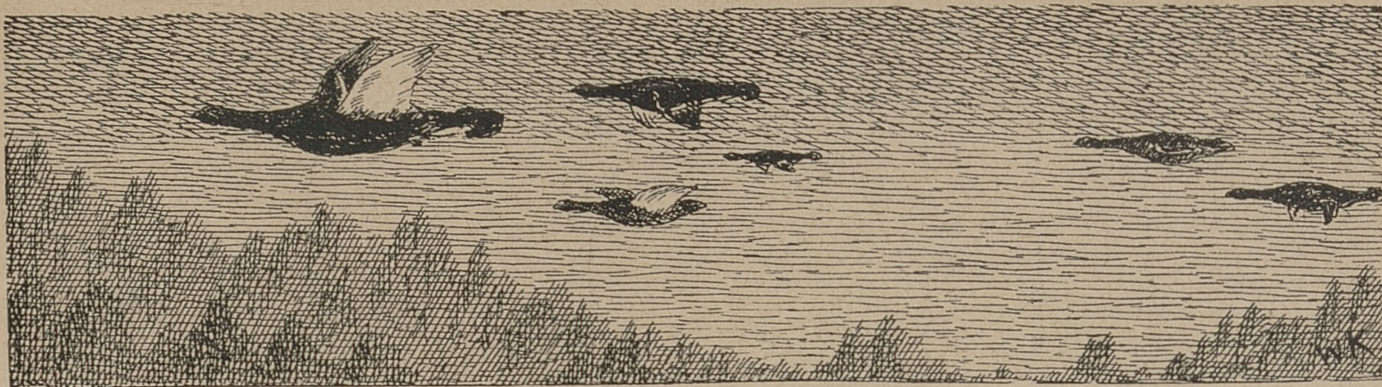
Nad szemrzącym strumykiem stał otoczony gęstym lasem domek gajowego. W małej, oświetlonej łojową świeczką izdebce, siedział przy stole gajowy z obwiązaną głową. Przed nim na stole leżał świeżo nakrajany chleba czarnego bochenek i kawałek masła, a obok wsparty na łapach spoczywał wierny przyjaciel, wielki pies myśliwski, położywszy kudłatą głowę na kolanach swego pana.

— Tak, poczciwy mój psie, — mówił do wiernego towarzysza gajowy, — to wigilijna wieczerza nasza. Dawniej lepiej bywało, bo otaczały mnie serca kochającej rodziny. To wszystko minęło bezpowrotnie.—Poczem, opuściwszy głowę, wpadł w głęboką zadumę, a ból dotkliwy w zranionej skroni począł mu dokuczać, aż wkońcu upadł zemdlały, by już nie wstać więcej.

Żałosne wycie psa było znakiem, iż gajowy żywota dokonał.

J. ŻARNOWSKI





CHYTRY POLESZUK.

I.

Włóczyłem się z wiernym pieskiem od paru tygodni śród tropikalnych promieni słońca sierpniowego. Bezmiar łąk trawiastych pochłonął całe moje jestestwo!... Sczezły bóle, nudy i troski życia wszelkie, pod matczyną pieszczotą czarodziejki przyrody!...

Satelitami w tych wyprawach łowieckich byli — zwykły mój socjusz na tych obszarach, gajowy, a nawet „objezdczyk" Paweł Baranowski i jakieś, specjalnie skonwokowane z dobrej swej woli, nieznane mi „indywiduum", które poprostu błagało mnie o „pozwolenie" towarzyszenia mi, bo pragnęło z amatorstwa widzieć, jak to „pany" do „latającej" zwierzyny strzelają!... Osobnik ten, dziwne imię Makoweja Pererepenka noszący, dość podeszłego już wieku, typowy chłop poleski, do pniaka drzewnego podobny, z nędzną, kozią bródką i grzywką obciętych nad czołem, włosów, o kołtuniastej czuprynie, był, jak się później okazało, zamożnym włościaninem jednej z okolicznych wiosek! Będąc zgóry przekonany, że idzie mu o „zapracowanie" paru złotych za fatygę noszenia za mną upolowanych kaczek, dubeltów i cietrzewi, przez wzgląd na jego zgrzybiały wygląd i wyraz poczciwych, jakby wyblakłych oczu, zgodziłem się na „gościnne", zbędne dla mnie występy!...

Stare dziecko natury radowało się przy każdem spadnięciu każdego trofeum tak odruchowo rzetelnie, że aż miło było obserwować. Szczególnie „dublety" w zachwyt go wprowadzały!...

— No, no, panoczku — jak to wy robicie, że taki piekur (bekas po miejscowemu) leci jak parowóz, raptem bac! i już jak gruszka dojrzała, spada, już na ziemi leży.

Siwy staruszek aż cmokał z radości i niewiadomo dlaczego, po rękach mnie całował, mówiąc: „Spasibo (dziękuję) panoczku, jak to harno (pięknie) na podobne strzelanie patrzeć!" Ów amator kunsztu Wilhelma Tella, jak zresztą wszyscy prawie poleszucy, nawet z kategorji „ochotników", nie rozumiał, że można dosięgnąć zwierza w biegu lub ptaka w locie!... „Nu, jeszcze dzika, łosia, nawet kozła, lecz maleństwo takie w lot trafić! Cóż za kalkulacja, na taką szczyptę mięsa — tracić tak drogi dziś, cały ładunek! Jeszcze rozumiem w kupę kaczek buchnąć, podkradłszy się na 10 kroków z ukrycia i jednym strzałem wybić z pół tuzina, ale do pojedynczego tereruka młodego, tembardziej bekasa marnować nabój, to doprawdy tylko panowie na podobne, głupie marnotrawstwa są zdolni. Aż hadko na duszy się robi, lecz patrzeć na taką sztukę zawsze bardzo ciekawym bywa".

Z tego wszystkiego jasno wynikało, że mój „gastroler" należał do przekonanych kłusowników, o „sui generis" duszy myśliwskiej jednakże. Dowodem tego było szczere delektowanie się moimi, jeśli nie mistrzowskimi, to zawsze dość poprawnymi strzałami!...

Ostatnie dwa dni peregrynacyj po nieskończonych brzeźniakach, łąkach i rojstach towarzyszył mi nieodstępnie stateczny, stary „dziadko" (chłop), pomimo że był to okres „gorących" robót sianożęcia i żniw na „ludzkich" poletkach z rachitycznem żytem i owsem o suchotniczym wyglądzie. Żaden „champion tir aux pigeons" w Monte-Carlo nie cieszył się takiemi oznakami uznania i głębokiej admiracji dla swego kunsztu, jak sługa łaskawych Czytelników... Suponowałem, że prawdopodobnie owe hymny składane mej strzeleckiej sprawności, są „ad hoc" wyśpiewywane „in gratiam" otrzymania większego napiwku po ukończonych łowach.

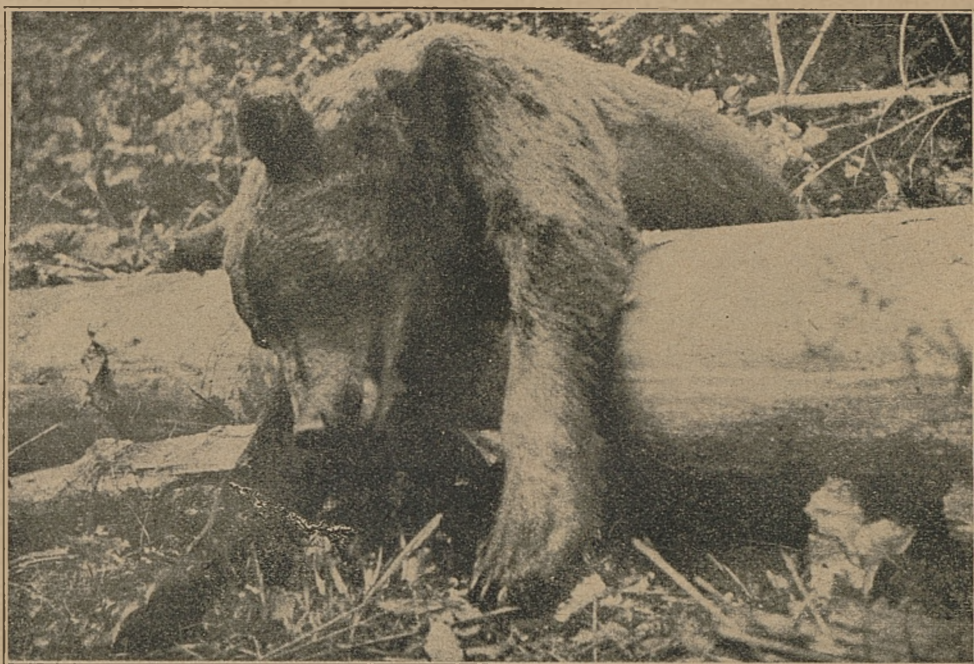
Kiedy na noclegu, znużony do niemożliwości całodziennem chodzeniem po przeróżnych moczarach, „zakopawszy się" w aromatycznem sianie przygodnego, włościańskiego obejścia, po sutej wieczerzy zasnąłem snem kamiennym, podczas gdy moi satelici przy ognisku „luleczki" swe kurząc z woniejącą machorką, „dyszkurowali" sobie przyjaźnie, — zostałem obudzony w nocy łaskotem jakichś insektów, na mem grzesznem ciele harce swe odbywających, i usłyszałem natenczas znamienną zdań wymianę: „Takiego panoczka jeszcze z wiku nie baczył (nigdy nie widziałem); skaży (powiedz) Pawło, czy wsi pany tak dobre strelajut? Ty zawsze z nimi chodzisz, to musisz „wielmi" (bardzo) dobre wiedzieć o tem, prawda, że rusznice mają „fein", proch, szrot też nie naszemu para. Im „lekcze" (lżej) niż naszemu bratu, ale jednakże ten staryj pułkownik, to może i „piekniej" od wielu trafia ptaszok, ba, i staryj, pewno, że lat z osiemdziesiąt pięć jakich może mieć ten panok!".

Nie reagowałem na to, tak wybitne przejaskrawienie mej leciwości, wiedząc dobrze, iż u poleszuków jest podobne „dodawanie" najlepszym komplementem, ale zrozumiałem, że stałe zachwyty imć pana Makoweja nie miały bynajmniej cech dyplomatycznych uzyskania mych względów, dla powiększenia cyfry

„remuneracji" jego trudów dźwigania zapasów i upolowanej zwierzyny. Szczere oczywiście były owe wybuchy spontanicznego uznania mych „wenatorskich" talentów, aczkolwiek nigdzie takiej „admiracji" nie odczuwałem u innych swych towarzyszów łowów. Trzeba było na takiem odludziu dopiero dożyć do możliwości paradowania w chwale strzeleckiej, jak paw w pogodny ranek majowy, w glorji niezrównanej! Prawdą atoli jest, że nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie. Ale lepiej być pierwszym w głuszy niż jednym z wielu w stolicy. To też na skutek tego wesoły jak szczygieł, rozkosznie tak na sianie się przewróciwszy, z lubością w słodką nirwanę snu się na nowo pogrążyłem.

mało, według jego zdania. Obserwuję jednak, że minę ma zadowoloną, ba, w rękę pokornie pocałowawszy, poleski, stary dzikus rozpoczyna wykład motywów swej odmowy:

— „Bo ja wiem, panoczku, wy nie jesteście już obszarnikiem, Pawło wszystko mi rozpowiedział, jak to u was bolszewiki majątki, gdzie tyle zwierzyny było, do szczętu zrabowali. Obecnie żyjecie z oficerskiej pensji i oprócz tego, panok podobno coś pisze, pisarzem jest, a w jakim to urzędzie? (tak została zrozumianą moja literacka działalność przez leśnych faunów). Pewno w ministerstwie w Warszawie? Ale z tego niewielka pociecha, to też dla takiego panka każda złotówka niemało znaczy, prawie że jak w naszym kreścijańskim (chłopskim) stanie. Otóż proszę dać mi cztery złote tylko, ale koniecznie „twarde". „Co to ma znaczyć?" — zapytałem. „No, bo widzisz panoczku, widzieliśmy tyle już tych papierków! Były i kierenki, i niemieckie ost-rubli, i bolszewickie limony, i marki polskie. Mam nawet w komorze całą skrzynię z temi markami, których nie zdążyłem ‚obmieniać" w porę. Chwała Bogu „polskaja własť" (władza) coraz większy u nas porządek zaprowadza. Już i „twarde" pieniądze u nas są!"



Niedźwiedź zabity podczas tegorocznego rykowiska w Karpatach.
Fot. Józef ks. Jabłonowski.

II.

Ostatni dzień był najobfitszy w różnorodne i bogate łupy. Torba imć Makoweja aż rozpęczniała cała od mnogości upolowanego ptactwa. Obaj satelicipniaki literalnie obwieszeni byli farbowikami-murzynami w czarnych frakach, opasłymi błot arystokratami dubelciego rodu, wielce eleganckimi bekasami. Po odbyciu rzetelnej kąpieli w kanale, z mnogą coprawda ilością wpijających się pijawek (któż na podobne bagatele zwraca uwagę? Chyba ludzie bardzo zgryźliwi, nieprawdaż?), należytem sił pokrzepieniem ze swych zapasów — hajda z powrotem na kolej, a stamtąd, niestety, do „miasta złego"...

Chociaż nikt amatora pięknych strzałów nie prosił o udział w polowaniu, ale pamiętny zawsze na maksymę: drobne podarki podtrzymują przyjaźń, pożegnawszy się bardzo serdecznie z „dźwigaczem" przygodnym, wyjmuję pięciozłotowy banknot i wręczam poleszukowi. „Pokornie dziękuję panoczku, ale go nie wezmę". A to ten stary satyr jest w dodatku szantażystą, pomyślałem. Widocznie uważa, że za

— „Więc, o cóż chodzi? Pójdziesz dziadunio do pierwszej lepszej „kramnicy" i tam tobie papierek rozmienią na twarde".

— „Eh, trzeba iść aż na tartak, dwadzieścia wiorst (kilometrów) z „hakiem", czy to warto? A jak panoczek mi zaraz da cztery, to samemu jeszcze cały złoty na papierosy się zostanie. Złotówka każda w „chaziajstwie" (gospodarstwie) się przyda".

— „Więc dziadziu, nie wierzysz w „żadne" papierowe pieniądze?". „Jak w nie wierzyć, proszę panoczka, kiedy to dawniej bywało, pokażesz komu carską storublówkę, „katarynkę", to aż trzęsie się cały,

czy to żyd, czy pan, czy chłop. Co tam mówić o „radużnoj" (tęczowej) próżne słowa, ale każdy inny „kazionnyj" (rządowy) papierek „fajn" znaczenie natenczas miał. A dziś? Niemi chaty „oklejać" tylko! Ot, złoto to co innego; srebro też! Dlatego „nasi" ludzie tak ich chowają i na nie „towar" (bydło) i ziemię kupują".

— „Więc wy nie wierzycie „żadnej" papierowej walucie?" „Nie, panoczku, ni niemieckiej, ni francuskiej, ni angielskiej, ni polskiej, żadnej!".

— „No, a dolar amerykański?". — „I dolar papierowy niewiele może być wart".

— „Jakto? A chyba u was we wsi nie przysyłają krewniaki z tych, co to do Ameryki wyjechali, tych samych dolarów, za które niejeden już „bat'ko" (ojciec), czy brat, albo swat patrzaj jakie gospodarstwo sobie zaprowadził, gruntu świętego zakupił".

— „Wszystko to bardzo pieknie, panoczku, ale wszystko do czasu".

— „Jak to, do czasu?" — wzdrygnąłem się na tak czarny pesymizm satyra.

— „A no, bo i carskie „do wojny" jak stały? Przyszła wojna, rewolucja i wszystko „k'czortu", figa jedna... Ze wszystkich. Tak samo może być i z dolarami. Któż wie, co za dziesięć lat będzie? Jakaś wojna Ameryki z Japonją, śród amerykanów jakiś „miatież" (rewolta) i papierki dolarowe też do skrzyni, na pamiątkę pójdą. A jak twarde złoto, srebro, miedź nawet, to nigdy się nie zaprzepaszczą. Tatarskie pieniądze jeszcze ludzie po „mogiłkach" wykopują i korzyść mają, a papierki to na trucie much dobre. Więc proszę panoczka, dać mi dwie srebrne złotówki, a jedną sobie zostawić, ja proszę, ja bardzo proszę".

Tu znowu, bez cienia serwilizmu, a tak sobie „od serca całego" — cmok mię w rękę.

III.

Wynikiem konukretnym całej tej beznadziejnej teorji finansowej leśnego wygi było naturalnie obdarzenie go pięciozłotówką srebrną oraz jeszcze jedną nadetatową, drobnemi, za wykład życiowej lekcji walutowej. Powlekliśmy się śród błogosławieństw starego na stację kolejową, lecz długo jeszcze będę pamiętał sylwetkę chytrego i ostrożnego wielce poleszuka. Wiele jest rzeczy dziwnych, godnych uwagi na świecie szerokim, lecz kurs politycznej ekonomji, wygłoszony przez praktyka, leśnego gnoma, — objaw to zaiste oryginalny. Bywają jeszcze rzeczy dziwniejsze pod słońcem, nieprawdaż Czytelniku miły? Jakaż czasami doza życiowo-logicznych obserwacyj i zmysłu chytro-praktycznego żyje w mózgownicach ludzi pierwotnych, owych Halimonów, Maksymów i Owsiejów przeróżnych, synów Polesia starego, chytrych, a ostrożnych do „non plus ultra".

ADAM RZEWUSKI.



Naganka na Polesiu. Photo-Plat.

TURNIEJ POETYCKI O RYKOWISKO.

W „Słowie Polskiem" niepodpisany poeta wydrukował na tle sprawy strzelania jeleni podczas rykowiska, wiersz następujący:

„W Karpatach bardzo gwarno. Na wielkie zebranie
Strojne, pełne nadziei — wybrały się łanie.
Koncertem się zaczyna jeleni karnawał —
Chór męski (dzielne basy) zawsze koncert dawał.
Lecz dzisiaj jakaś zmiana. Słychać nikłe głosy —
Czyż już basów zabrakło? Czyż same młokosy
Stanowią zespół chóru? Toż takie pytanie
Zadają sobie same zatrwożone łanie.
Koło jednej dwóch razem kawalerów skacze...
Idźcie precz — rzecze łania — wy — obaj smarkacze:
Idźcie na cztery wiatry, — nie dla psa kiełbasa.
Ja takich smyków nie chcę — kocham tylko basa.
Lecz basa nie znalazła. Łani serce płonie.
I poprzestać musiała wnet na barytonie.
I pełna smutku rzekła: Więc dożyłam czasów
Gdy w karpackim koncercie brak już dobrych basów!
— Basy znów zaśpiewają — lecz w tem sekret cały,
Że w czasie tych koncertów muszą zmilknąć strzały".

Na to redakcja „Łowca Polskiego" otrzymała od wybitnego myśliwego i pisarza łowieckiego:

ODPOWIEDŹ ŁANI MYŚLIWEMU.

Przed odpowiedzią króciutkie pytanie
Postawią Panu nasze Skolskie łanie:
Gdzież u licha tak kiepskie wesele,
Że w chórze „basów" było tak niewiele?
Czy się Pan pomylił, może trochę głuchy?
Może Pana zwiodły na manowce duchy,
W ubocz, gdzie młodzież odbywała harce,
Pan jakiejś zbłąkanej przypatrzył się parce,
O nikłych głosach, a widząc cielaki,
Szneidry, przyciołki i same pokraki,
Ryk udające w sposób oszukańczy —
I pląsy, w których młodzież foxa tańczy,
Wziął za prawdziwe, śród wichrów wesele,
Chociaż tam tylko otręby się miele?
I z tego zaraz niesłusznie Pan wnosi,
Że w górach sami rej wiodą młokosi?
„Niema tak dobrze", gdyż są w naszem gronie
„Starsi Panowie", a gdy liść zapłonie,
Na bukach, — niejedno u nas drży serce
Zwłaszcza u młódek, dotąd w poniewierce
U młodszych byków. — Starszy Pan zagarnie
Je do haremu, a one ofiarnie,
By krew wyrównać — idą za tym wieńcem. —
Zanim dnia całus zawiśnie rumieńcem,
W szczytach, — po łąkach rozperlą się rosy...
Usłyszeć można — ...„Starszych Panów", głosy.
Śród nocy, z brzaskiem, lub gdy mgła zamroczy —
Górskie ostępy, — Lecz szanuj swe oczy, —
Nie uwidzisz go, z kimbądź się brata, —
By się z nim spotkać — nieraz całe lata
Poczekasz. W gąszczach przezornie się chowa,
A gdy z nich wyjrzy rosochata głowa,
Przechodzi cichcem — śród górskich ustroni,
Gdzie przodownica cudownie go broni.
Ta, gdy coś zwidzi lub zwietrzy zdaleka —
Osłoni władcę i z chmarą ucieka.
Starszy Pan... „to Pan", on chórów unika,
Zrzadka zagłosi, nie nęci go klika,
Nie szuka zwady, nic go z nią nie łączy, —
Ma miłośnice, a z niemi wśród pnączy
Górskich uroczysk — święci gody swoje,
I ród utrzyma, dając młodych roje. —
Nic nam myśliwych nie zaszkodzą strzały,
I nieraz wielką przysługę oddały, —
Broniąc nas, łanie przed zachłannym bykiem,
Który swem ostrzem, jakby scyzorykiem,
Inne kaleczy i w godach przeszkadza,
I tak nas gnębi, jak indyjski radża
Swe kochanice, które w śmierć posyła;
Niejedna pchnięta... życie swe straciła.
Strzały nas bronią także przed zboczeńcem,
Który choć ładnym odznacza się wieńcem, —
Rozgramia, pędzi — rozbija wesele,
Zwykły zazdrośnik, ...a takich jest wiele.
Bronią od wilka i od kłusownika,
Każdy z nich łatwo w największy gąszcz wnika
A co też ważne, i rasę wzmacianją,
Godząc w słabe, owalne, które zgrają
Ród nasz obsiadły i grożą urodzie
Jeleni, — a je tylko śród wesela
Poznać można, — gdyż każdy się oddziela
Śród innych. — Selekcja wówczas wskazana,
Choćby gromiono od rana do rana!
Ci co Was gromią, to są Don Kichoci,
Każdy z nich dzień w dzień, na pewno coś spsoci, —
I niejeden zwierz z jego ręki ginie.
Jakże tu mówić, w jednakowej winie,
O etyce, gdzie wcale nie istnieje?
Lecz są to zwykłe u myśliwych dzieje:
Że ten, co strzela z czatowni niedźwiedzie,...
Gdy je głód ściśnie i pod nią zawiedzie,...
Lub niedźwiedzicę, by jej małe dziatki
Strzałem pozbawić żywicielki matki,...
Kto dla popisu strzela do gołębi,...
Bezbronne ptactwo bez litości gnębi,...
Kto rekordowo strzela do zajęcy,...
Żałując śrutu, by je dobić w męce,
Kto robakowi rozpruwa wnętrzności,...
Nagle powiada w przystępie litości:
„To wszystko wolno i w tem jest etyka, —
Brak jej... gdy w ryku strzela się do byka"!

STWÓR.

Listopad 1930.



Zima. Fot. M. hr. Potocki.

ŻART.

Wesoło płonęły smolne polana na kominku.

Języki ognia wysoko strzelały wgórę, dosięgając czarnego otworu komina i pełznąc po okopconych cegłach, zakrzywiały się, jak palce ognistej dłoni, ginąc w labiryntach luftów. Suche polana radośnie strzelały rakietami iskier, huczały kłębiącym się płomieniem, którego poszum jest pieśnią odwieczną, a zawsze tak miłą i nową. Migoczące blaski ognia walczyły z mrokiem pokoju. Drżące cienie chwilami ostro rysowały się na ścianach, to znowu chybocząc się, bladły, rozmazywały i wsiąkając w ciemność, ginęły za kurtyną mroku.

Dobroczynne ciepło buchało swym oddechem w nasze twarze, zaczerwienione od mroźnego wiatru, i pieściło swą niewidzialną dłonią zziębnięte i zmęczone ciała całodziennem polowaniem. Błogie zmęczenie rozlało się po wszystkich mięśniach, pogrążając nas, wyczerpanych łowiecką emocją, w roskosznem lenistwie.

Było to po polowaniu urządzonem przez naszego gościnnego gospodarza, pana Holszę, na terenach jego majątku, na Polesiu. Polowanie udało się, jak zawsze, gdyż były wszystkie potrzebne ku temu czynniki, jak dobra organizacja, spora ilość zwierzyny, obfite śniadanie, a co najważniejsze, iście młodzieńcza werwa i humor gospodarza.

Wszystko odbyłoby się, jak zawsze, ochoczo i wesoło, gdyby nie dysonans, jaki zdarzył się pod koniec śniadania, dysonans, który zwarzył humory do końca polowania.

I teraz właśnie, siedząc przy kominku, rozmawialiśmy o całem tem zajściu. Jednak po ogrzaniu zewnątrz przez dobroczynne ciepło kominka, i wewnątrz przez jeszcze bardziej dobroczynne wyroby pani domu, w postaci najrozmaitszych nalewek, całe to zajście nabrało zupełnie humorystycznego charakteru.

Sprawcą zdarzenia był syn sąsiada pana Holszy, polujący raczej dla towarzystwa i butelki, niż dla zwierza i emocji. A było to tak:

Gdy śniadanie miało się ku końcowi, a ognisko rozpalone na polance dogasało, sącząc cienkie warkocze niebieskiego dymu, pierwsze, kąśliwe sfory wiatru, poprzedzające zbliżającą się zawieję, podsiekły rózgami mrozu, ledwo ogrzane nasze ciała. I wówczas ktoś z naszego grona zauważył, że stanowczo przydałaby się jeszcze butelka gorzałki. Lecz, niestety, były to tylko błogie życzenia, gdyż cały zapas alkoholu wsiąkł już w nasze żołądki. Wszyscy smętnie wzdychali, twierdząc zgodnie, że jeszcze jedna butelczyna niewątpliwie zwalczyłaby, coraz ostrzej atakujący mróz.

Wszyscy, z wyjątkiem gospodarza, który był przeciwnikiem zbyt obfitego picia na polowaniu, i dobrodusznego pana Romualda — poleszuka z krwi i kości, którzy chytrze uśmiechali się pod wąsem. Zdziwiła nas wszystkich cicha rezygnacja pana Romualda, gdyż wiedzieliśmy dobrze, że lubi wypić i to niezgorzej.

Lecz oto zdemaskowano chytrego poleszuka. Wykryto w jego kieszeni butelkę, na dnie której był jeszcze spory łyk wiśniówki.

Z humorem i śmiechem rzucono się na pana Romualda, lecz przebiegły i silny poleszuk wymknął się napastnikom, odbiegł kilkadziesiąt kroków, i by całkowicie nas pognębić, wzniósł toast za nasze zdrowie. Okazało się jednak, że korek w czasie walki został tak głęboko wpędzony, iż z wybicia go obyczajem dorożkarskim, musiał pan Romuald zrezygnować. A więc postawił butelkę na pieńku, a sam odszedł, by wyłamać patyka, którymby utorował sobie drogę do cennego napoju.

Wtem zwrócił naszą uwagę syn sąsiada pana Holszy, młody nemrod, który z pośpiechem ładował

strzelbę. Nim zorjentowaliśmy się, o co chodzi, nemrod celował do stojącej butelki, a pan Romuald nie widząc, co się święci, podchodził do pnia z prowizorycznym korkociągiem.

Huk strzału i wrzask pana Romualda zlały się w jedno. Powstało niesamowite zamieszanie, żartowniś zbladł, jak ściana, a pan Romuald, schwyciwszy się za łydkę, kulejąc, dreptał na miejscu.

Rzuciliśmy się do ofiary, nie szczędząc epitetów inicjatorowi dowcipu, lecz po ściągnięciu walonka przekonaliśmy się z ulgą, że kilka śrucin, które przeszły gruby wołjok, niegłęboko ugrzęzły pod skórą.

Co ciekawe, że butelka pozostała nierozbita, a zawartość jej bez sprzeciwu ogółu przelano do żołądka ofiary.

Na żądanie pana Romualda polowanie nie zostało przerwane, lecz humory były już do końca zwarzone. Zerwała się zawieja, sypki, zmarznięty śnieg siekł twarz i oczy. Z ostatnich dwóch miotów zrezygnowaliśmy.

I oto teraz, siedząc przed kominkiem i widząc doskonały humor ofiary, inaczej ustosunkowaliśmy się do całego zajścia, które mogło jednak całkiem tragicznie się zakończyć. Jedni żartowali z celności strzału, inni znowu podziwiali heroizm pana Romualda, który jakoby zasłonił butelkę własnem ciałem, bojąc się, że strzał z drugiej lufy będzie celniejszym.

Po żartach o dzisiejszym wypadku, niepostrzeżenie rozmowa nasza przeszła na temat wypadków z bronią wogóle.

Moi panowie — zwrócił się do nas gospodarz — opowiem wam ze swego życia zdarzenie, które dostatecznie was przekona, że z bronią żartów nigdy nie należy robić. Żart — panowie — czasem taki niewinny, taki błahy napozór, może złamać i zatruć niejedno życie.

Twarz pana Holszy spoważniała.

Wpatrzony w buzujący ogień, milczał przez chwilę, wywołując w swej pamięci dawno minione czasy. W szarych, zamyślonych jego oczach odbijały się płomienie kominka, drżąc niepewnie i blednąc, jak wspomnień dalekich obrazy, to znowu blaski te zapalały się jaśniej, jak gdyby rozświetlały mroki wielu ubiegłych lat.

Byłem wówczas w ostatniej klasie gimnazjum — rozpoczął pan Holsza — na wakacje pojechałem do swego kolegi — jedynaka, którego rodzice mieli majątek również na Polesiu, nad Jasiołdą. Był to cudowny zakątek i prawdziwy raj dla myśliwego. Wiele szczęśliwych chwil, wiele emocyj łowieckich przeżyłem w tym dzikim, pełnym tajemniczego uroku, zakątku.



Z polowania w górach Święto-Krzyskich. Fot. J. Suchowski z Gromadźca.

Nie będę panom opowiadał tych wszystkich przygód myśliwskich i niespodzianek, jakie płatała nam poleska fauna. Przejdę odrazu do ostatniego naszego polowania, do owego zdarzenia, którego dziesiątki lat nie zdołały zatrzeć w mej pamięci, a które chcę panom opowiedzieć. Minęło wiele lat, wiele przeżyłem, a jednak pewne fragmenty, pewne sceny, tak mi utkwiły w mózgu, iż zdaje mi się, że to było wczoraj.

— Mieliśmy polować na cietrzewie, — ciągnął pan Holsza. — Za teren obraliśmy odległe o parę kilometrów uroczysko, graniczące z topieliskami, przez które przepływała rzeka Jasiołda.

Wstaliśmy o pierwszym brzasku.

Matowe szyby mgieł skąpo jeszcze siały światło budzącego się dnia, gdyśmy wyszli za park. Przed

nami rozciągało się błoto, zalane mleczną bielą oparów porannych, jak jedno wielkie morze. Czuby pobliskich olszyn odcięte od ziemi pasmem gęstej mgły, zdawało się, płyną po spokojnej fali. Perlista, nocna rosa, jak biały szron, pokrywała trawę. Duże, zimne krople gęstniejącej mgły, wolno kapały z drzew. Poranny, rzeźwy chłód, dreszczem przenikał nasze rozespane ciała.

Szybko dotarliśmy do grobli, która miała nas doprowadzić do miejsca, skąd zamierzaliśmy rozpocząć polowanie.

Towarzystwo nasze składało się: z mego kolegi Jurka, do którego przyjechałem, jego kuzyna Zenka, no i mnie. Była to nasza nierozłączna trójka.

Wesoło i prędko posuwaliśmy się po grobelce, zwinnie pokonywując rozmaite przeszkody w postaci poprzecznych rowów, wyżłobionych wiosennymi rozlewami, to znowu ruchliwej klawiatury prowizorycznych mostków. Dzień już się robił, gdyśmy minęli mokre łąki, na których z opadającej mgły wynurzyły się kopulaste stogi siana. Stada kaczek z szumem ciągnęły na rzekę.

Przyśpieszyliśmy kroku. Pochód nasz poprzedzały dwa wyżły, jeden leciwy i flegmatyczny — Ralf, który majestatycznym truchcikiem biegł w przepisowej odległości, drugi młokos i gorączka — Milord, sadzący potężnymi susami naprzód i wracający z jeszcze większym pędem, zbijając nas z nóg.

Gdyśmy dochodzili do uroczyska zwanego „Pohorełe", skąd zamierzaliśmy rozpocząć polowanie, z oparów, ciągnących się wązką smugą na horyzoncie, wynurzyła się purpurowa tarcza wschodzącego słońca. Świetliste promienie zwycięsko strzeliły w niebo.

Zaróżowiony, drobny obłoczek, jak ptak odbity od stada, wolno płynął na północ. Brylantowe krople opadłej mgły zasypywały ziemię, wróżąc pogodny dzień.

Zatrzymaliśmy się, by rozejrzeć w terenie.

Po lewej stronie grobli rozpoczynały się błota porosłe łozą i karłowatą sosenką niską i drobną, pokrytą liszajem szarego mchu. Błota te ciągnęły się ogromne przestrzenie, graniczące z jednej strony z lasem, z drugiej zaś z trzęsawiskami, przez które w tysiącznych zakrętach leniwie płynęła Jasiołda.

Monotonny, bagnisty krajobraz urozmaicały rozsiane po całym mszarze wysepki, hrudami zwane, porosłe bukietami strzelistych sosen i brzozą, podszyte gęstym jałowcem. Tuż przed nami kępiaste mchy słały pod nogi przepyszny, miękki dywan, haftowany czerwienią borówek, barwiony fioletem kwitnących wrzosów. Sine pasmo dalekich lasów ginęło gdzieś w sercu bagien roztopione w mglistych oparach. Po ustaleniu marszruty zabraliśmy się do nabijania strzelb. Była to wówczas czynność bardziej skomplikowana niż dziś, w ogólnem bowiem użyciu były tylko kapiszonówki.

Gdy broń nabiliśmy i na czarnych kominkach zabłysły złote kapiszony, zeszliśmy z grobli. Stopy nasze zanurzyły się w mokry, miękki mech, wyciskając ślady, w których gromadziła się brunatna woda. Kępiasta trawa operlona gronami błyszczącej rosy sięgała wyżej kolan, osypując nas gradem zimnych kropli. Nici przędzy pajęczej, niewidzialne w dzień, teraz, jak szronem, pokryte miljardem matowych kropelek, zgrubiałe i puszyste tworzyły białe koła, zawieszone od gałązki do gałązki, od trawki do trawki. Zdawało się, iż cały mszar jest przykryty cudną, misternej roboty koronką. Niskie krzaki pijanicy, pokryte czarno-sinawą, zapotniałą jagodą, jak ciemne plamy, rysowały się na zieleni traw. Tu i owdzie na wysokich kępach mchu ostro odbijały krwisto-czerwone żyły borówek.

Pan Holsza przerwał. Zapanowała chwila ciszy. Jasny płomień oświetlił jego twarz, na której zjawił się smutny uśmiech.

— Przecież minęło tyle lat, — ciągnął dalej gospodarz, — a mimo to, pamiętam doskonale swój pierwszy strzał, pamiętam to miejsce, jakbym tam wczoraj był. Tak, pamiętam, posuwaliśmy się wolno i w milczeniu. Zwarte kępy wysokiej trawy poczęły się rozstępować, tworząc wijące się dróżyny, wysłane niziut-



Na stanowiska. Fot. Sarjusz-Wolski.

kim mchem. Teren stawał się coraz suchszy, a pod nogami wyczuwało się twardy grunt. Jeszcze chwil parę, i wstąpiliśmy na suche wrzosowisko, które tu i owdzie świeciło łysiną piasku. Drobne, twarde listki borówek, gęsto zbite przy samej ziemi, tworzyły błyszczące chodniki zasypane czerwoną, połyskliwą jagodą. Stożkowate krzaki jałowców, rozrzucone po całem wrzosowisku, przecudnie dekorowały krajobraz swą ciemno-sinawą zielenią.

Posuwaliśmy się wolno naprzód.

Lecz oto Milord, wracający w krótkim galopie na moje gwizdnięcie, gdyż za daleko odbiegł, stanął jak wryty. Przypadł, rozciągnięty przy ziemi na szeroko rozstawionych, przednich łapach, z pyskiem skierowanym w bok. Widocznie w pędzie minął zwierzynę.

Ze ściśniętego gardła wydobywam owo elektryzujące słowo: „uwaga" i z gwałtownie bijącem sercem zbliżam się do psa.

Doszedłem do Milorda na kilkanaście kroków, palec na cynglu i czekam, by towarzysze moi z drugim psem zaszli z boku. Chwilę posuwamy się razem i wreszcie zatrzymujemy się. Stoimy półkolem, przed nami nie dalej jak o dziesięć kroków, obydwa psy, gdyż Ralf również zwęszył i stanął naprzeciw Milorda. Zachęcam je, by ruszyły naprzód. Napróżno, stoją, jakgdyby wrosły w ziemię. Zaczynam się denerwować.

Krew wali w skroniach, ręce drżą, serce urządza jakieś niesamowite historje. Znowu z trudem wydobywam z siebie ochrypłym głosem: „Weź!". Psy posunęły się jeszcze o krok, już dosłownie patrzą sobie pod nogi. Milord stoi jak posąg, tylko koniuszek ogona drży. Zdenerwowanie nasze dosięga kulminacyjnego punktu. Kolana i ręce trzęsą mi się, jak w febrze. Robię jeszcze krok. Już dosłownie stoję na ogonie Milorda. Wreszcie tracę panowanie nad sobą i nieludzkim głosem wrzeszczę: „Pyf!". Psy jednocześnie robią skok i wówczas dopiero z pod nóg wyżłów ze strasznym łopotem wyrywa się młody cietrzew. Jest odemnie o kilka kroków; widzę doskonale jego szare opierzenie, poplamione czarnemi piórami. Padają jednocześnie dwa strzały, potem jeden po drugim, znowu dwa i wreszcie solo piąty.

Aż ziemia zadrżała od takiej kanonady, a grzmot pięciu strzałów zlał się w jeden potężny akord i potoczył się, przelewając po mszarze, uderzył w ścianę boru, i powtórzony stokrotnem echem, zginął gdzieś w dali. A cietrzew, proszę panów... poleciał!

Nigdy nie zapomnę tego uczucia bezradnej wściekłości, gdy po naszych strzałach zaczęły dokoła nas z przeraźliwym łopotem i gdakaniem porywać się młode cietrzewie. My zaś, posyłając za odlatującymi ptakami najokropniejsze przekleństwa, pompowaliśmy swoje kapiszonówki.

Niezrażeni jednak pierwszem niepowodzeniem, ruszyliśmy dalej.

Sierpniowe słońce dosięgało już zenitu, gdy zlani potem, ledwo trzymając się na nogach, wyłaziliśmy z błota na suchy hrud. Z rozkoszą zrzuciliśmy z ramion torby ze zwierzyną, której dosyć pokaźny ciężar dał się nam we znaki. W dalszym bowiem ciągu polowania Św. Hubert spojrzał na nas łaskawszem okiem, niż na wstępie. Zabiliśmy jedenaście cietrzewi.

Z jaką radością i zadowoleniem rozłożyliśmy się na suchym wrzosie w cieniu młodych brzózek, by przekąsić i wypocząć, nie potrzebuję wam, moi panowie, opowiadać, gdyż sami dobrze znacie owe słodkie, rozkoszne chwile.

Jak dziś, pamiętam to uczucie bezgranicznego szczęścia i swobody, gdy leżąc na puszystem posłaniu z wrzosów i mchu, patrzyłem w nieskalany błękit nieba. Cisza bezmierna, niezakłócona nawet najlżejszem westchnieniem wiatru, panowała dokoła. Rozgrzane powietrze, nasiąknięte zapachem leśnych ziół, jak nektar jakiś przedziwny, wlewało się do naszych płuc. Ciche brzęczenie pszczoły, czepiającej się po gałązkach wrzosu, dziwnie harmonizowało z tym sennym nastrojem upalnego południa. Rozmowa nasza urywała się co chwila, a pauzy między leniwie wypowiadanemi słowami, stawały się coraz dłuższe. Skrobanie jakiegoś żuczka, który ulokował się w trawie, pod mojem uchem, i brzęczenie pracowitej pszczoły zlały się w jedną monotonną melodję, która ukołysała mię do snu.

Tu pan Holsza przerwał.

Twarz jego nagle posmutniała. Szare, zamyślone oczy poprzez płomienie kominka widziały dawno minione sceny. Głębokie westchnienie wyrwało się z jego piersi. W pokoju zapanowała cisza; tylko za oknami przeciągle jęczał wiatr, zamiatając z szelestem warkoczami śniegu po zamarzniętych szybach.

— Obudziło mię gwałtowne szarpanie, — rozpoczął dalej pan Holsza, — i głos Zenka, który naglił do wstawania. A tak mi się jeszcze strasznie chciało spać, tak błogo było wypoczywać na leśnej pościeli.

Ale Zenek nie dawał za wygraną.

— Wstawać, panowie, — wrzeszczał — wstawać, bo już piąta dochodzi!

By przekonać go, że spać już nie zamierzam, uniosłem się na łokciu, lecz oczy zamykały mi się same, a głowa pełna jeszcze snów, ciążyła niemiłosiernie.

Znowu zacząłem zasypiać, lecz głośne a dosadne zwroty Zenka zmusiły mię do przerwania słodkiej drzemki.

— Odczep się odemnie, , — burknąłem, — widzisz, że nie śpię; lepiej obudź Jurka..

Lecz z tamtym poszło znacznie gorzej niż zemną, Jurek znany był z tego, że nielada jakiego wysiłku trzeba było użyć, by wyrwać go z objęć Morfeusza.

I teraz bezskutecznymi okazały się zabiegi Zenka. Trząsł go, tarmosił, wrzeszczał w samo ucho, wszystko napróżno. Jurek nawet oczu otworzyć nie raczył, tylko na każdy nowy atak odpowiadał zaspanym głosem zgoła nieparlamentarnie. Ja zaś zadowolony, iż Zen pozostawił mię w spokoju, zamykającem się okiem z błogą nadzieją, iż uda mi się jeszcze trochę zdrzemnąć, przyglądałem się całej scenie.

Długo jeszcze używając najrozmaitszych sposobów, probował Zen obudzić Jurka, aż wreszcie, nawymyślawszy mu od rozpieszczonych jedynaków, podszedł do pieńka, o który oparte były strzelby. Widziałem, iż majstruje coś koło swej flinty, że stemplem wykręca pakuły, że wysypuje śrut z lufy, ale tak byłem śpiący, iż nie zastanawiałem się, poco to robi. Już zasypiałem znowu, gdy posłyszałem roześmiany jego głos:

— Uwaga! Teraz, to chyba się obudzi.

Otworzyłem zaspane oczy. Zenek trzymał strzelbę skierowaną w stronę śpiącego Jurka, i nie podnosząc jej do ramienia, pociągnął za cyngiel.

Huknął strzał. Jurek drgnął cały, jakgdyby chciał poderwać się na nogi, lecz pozostał rozciągnięty na trawie nadal w tej samej pozie. Grzmot strzału jeszcze nie przebrzmiał, gdy z młodzieńczej piersi Zenka trysnęła kaskada wesołego śmiechu. Zenek śmiał się ze swego żartu, aż łzy mu z oczu płynęły. Ja momentalnie zerwałem się na nogi, lecz nie mogłem zorjentować się, o co właściwie chodzi.

Lecz oto głośny śmiech inicjatora żartu zaczął cichnąć, jakaś fałszywa nuta w nim zadrżała, jakiś przymus zadźwięczał w tym śmiechu, który wreszcie ucichł i ugrzązł gdzieś w gardle.

Spojrzałem na leżącego Jurka. Leżał tak samo i zdawało się, spał.

Lecz oto drobniutki dreszcz począł wstrząsać kończynami śpiącego. Palce rąk wolno zaczęły zaginać się i zwierać, zagarniając w dłonie trawę i gałązki kwitnącego wrzosu. Dreszcz wzmagał się i biegł po całem ciele. Mięśnie naprężyły się i napięły, jakgdyby dźwigały jakiś ogromny ciężar. Muskuły szyi naciągnęły się i głowa wolno zaczęła się obracać. Jeszcze chwila, a zdawało się, że Jurek sprężyście odbije się od ziemi i stanie na nogach. Wtem jednak, jakgdyby się coś zerwało, wszystkie mięśnie odprężyły się, a głowa wolno opadła na bok.

Zapanowała chwila straszliwej ciszy. Włosy mi z przerażenia powstały, a niewidzialna ręka okrutnej rzeczywistości ścisnęła mię za gardło. Czarne kręgi latały przed oczami, a serce do bólu wprost, poczęło walić w piersi.

Zenek blady jak chusta, przypadł do Jurka, wołając jakimś okropnym, skamlącym głosem:

— Jurek, nie rób kawałów, wstań! Jurek, proszę cię! Jurek, obudź się. No, już dostatecznie mnie wystraszyłeś; nie udawaj. Jurek, zlituj się!

Szlochanie odbierało mu głos. Nie przestawał jednak potrząsać ciałem śpiącego... już na wieki, kolegi i błagać go, by przestał udawać. Spazmy płaczu poczęły wstrząsać jego biedną piersią, a jęk chrapliwy, mrożący krew, wydobywał się z gardła.

Co się działo zemną i dokoła mnie — nie pamiętam. Przypominam tylko, iż przykucnąwszy przy głowie Jurka, tępym i bezmyślnym wzrokiem patrzyłem na jego skroń, z której wolno staczały się krople krwi. Tak, to pamiętam. Pamiętam każdą kroplę, jak oderwawszy się od jego skroni, spadała na szablistą trawkę, przeginała ją swoim ciężarem, biegła po jej pochyłości i zawisnąwszy na ostrzu, wydłużała się jak łza, drżała przez chwilę, aż wreszcie spadała na ziemię. Pamiętam, że trawka, jak wahadło, to chyliła się, to znowu pozbywszy się ciężaru, śmigała w górę. Lecz ruch wahadła ustawał. Krople krzepnącej krwi, coraz dłużej zatrzymywały się na ostrzu, aż wreszcie ciemna, prawie czarna kropla spłynąwszy na sam koniec źdźbła, przegięła je do samej ziemi i zastygła.

Co się działo ze mną i dokoła mnie, nie pamiętam. Lecz oto z odrętwienia wyrwał mię śmiech.

Śmiech, który pozostał mi w uszach na całe życie. Śmiech, który krew w żyłach mrozi i włos bieli siwizną. Śmiech straszny, w którym coś wyje i skomli i płacze.

Skurczyłem się cały pod uderzeniem tego śmiechu i sił mi zbrakło, by się obejrzeć. A gdy po chwili obejrzałem się, zobaczyłem Zenka, jak w podskokach zanosząc się owym piekielnym śmiechem, pędził przez polankę w stronę topielisk Jasiołdy.

Napróżno później szukano po całem bagnie.

Napróżno szukano na dnie Jasiołdy.

Litościwe mszary ukryły gdzieś Zenka razem z jego tragedją.

A przecież to był tylko żart. Żart, któryby się udał, gdyby nie jedna śrucina, zaplątana w pakułach.

Żart niewinny i błahy napozór. Tak, to był tylko... żart.

Pan Holsza skończył. Po jego twarzy wolno płynęły łzy. Kominek dopalał się.

Złocisty żar, pokryty szarym puszkiem popiołu, drgał słabem światłem. Nad czarną, opaloną głownią, sączącą wąskie strugi dymu, zatrzepotał płomyk. Zatrzepotał, zadrgał, rzucił promyk migotliwego światła w ciemmność pokoju i zgasł.

A na dworze szalała zamieć.

STANISŁAW PACEWICZ.



ŚWIT JESIENNY NA ŁOWISKU.

(Obrazek myśliwski).

Krótka jeszcze noc październikowa ma się ku końcowi. Od wschodu idzie już światło. Ciemny lazur nieba staje się najpierw szary, potem popielaty, wreszcie czerwony i złoty. Gwiazdy powoli znikają, jakby się kryły za mglistą zasłoną. Ustępują wstydliwie z niebieskiej areny najpierw mniejsze, następnie większe, wreszcie całkiem duże. Jasność narasta w oczach...

Na łowisku zjawia się jego stróż wierny i opiekun, leśnik doświadczony i czujny ze strzelbą na ramieniu. Ukryty dobrze za krzakiem tarniny patrzy na swoje umiłowane królestwo i słucha... Nieraz już bywał na niem o rannej godzinie.

Zarośla, rosnące tu i ówdzie na dalszem przedpolu, żółte smugi rżysk, zielone zagony ziemniaków i rude szuwary na stawach otula gęsta mgła poranna, wskutek czego wśród bliskich świerków, olch i wiklin drzemiących spokojnie, jest jeszcze ciemno. Trudno tu na ziemi cośkolwiek rozróżnić. Za to w górze, wysoko nad drzewami, świat cały jaśnieje i kąpie się cały w blaskach wstającego słońca.

Nocne gawędy niektórych ptaków opóźniających być może z umysłu swój odlot do wyraju i zadowolonych z ciepłej jesieni, tudzież dalekie hukanie sowy, ustały. I uczyniła się chwila ciszy, ale takiej, że więdniejący już listek na drzewie nawet się nie poruszył, i takiej wreszcie, że wśród niej słychać było tylko szelest spadających rzęsiście i uderzających o suche trawy, kropel rosy.

Nie długo jednak trwała...

Przerwał ją głos raszki czerwonogardłej, tego zawsze wesołego i zawsze nawet w zimie na mrozie i śniegu, śpiewającego ptaszka i najwcześniejszego zwiastuna budzącego się dnia. Usiadła na szczycie olszyny i nuci i śpiewa z całego serca, na cały dzióbek na cześć Stwórcy, jakby w serdecznej podzięce dla Niego za życie i zdrowie, za stół obficie jeszcze zastawiony i za wszystkie inne dary... Wnet jednak milknie, zlatuje za robaczkiem na ziemię, ustępując miejsca dzwoniącej rozgłośnie makolągwie i obudzonym już, pracowite swe życie rozpoczynającym sikorkom Tu liczniejsza rodzina bogatek przeszukuje pilnie zagęszczone konary dębu, tam znowu szczygły piszczą, oblatując co chwilę główki dojrzałego ostu, pochylone pod ciężarem nasion, które one ostrym dzióbkiem wyłuskują, tam wreszcie poważny bargiel głośnem gwizdaniem się wabi i przemierza pień jaworu raźnem pełzaniem od dołu do góry.

Na zew małych ptasząt odpowiada ciche, nieśmiałe pianie bażanta. Nie takie bojowe i donośne, jak na wiosnę... Przebudziwszy się z trapiącego go snu, strzepawszy się w całości i rozglądnąwszy bacznie wokoło, dojrzał z wysokiej gałęzi, na której spał, tajemniczego człowieka, jak się czaił za krzakiem. Dał więc zaraz wyraz swojemu zdziwieniu ostrzegawczem kwoktaniem i wyciągnął się jak struna, i czekał... Widzi go leśnik, jak siedzi na gałęzi i jak naraz, opuściwszy skrzydła, zupełnie już uspokojony, spogląda ciekawie w dół między kępy ostrężyn... Tam właśnie teraz spaceruje całe stado młodych bażantów ze starą kurą na czele. Zaczyna więc tańczyć z radości, tokuje po cichu i wabi... Serce jego, wezbrane różnemi uczuciami, każe mu zapomnieć o wszystkich niebezpieczeństwach, nawet o człowieku tam na dole, i doradza zapraszać żonę do siebie... Daremne jednak wszystkie jego przymilania, bo kwoczka zajęta dziećmi, ani myśli go usłuchać. Posiada dzieci, które żywi i ochrania i które wodzi ostrożnie po znanych sobie tylko przejściach i ścieżynach. Wszak wrogów ma wielu... Łasica, gronostaj, tchórz, kuna, lis, a przedewszystkiem zdziczały kot, dybią na jej dzieci i na nią samą, jak w dzień, tak w nocy, jak w lecie, tak i w zimie. Więc musi się mieć ciągle na baczności i dlatego nie ma czasu na spóźnione amory...

Od wschodu zamajaczyło w rannej poświacie stado cyranek. Lecą równym lotem nisko nad łowiskiem, wyciągnąwszy główki w stronę niedalekich, sztucznych stawów, na których znajdą aż tyle żeru w postaci rzęsy wodnej i różnych nasion. Mogą też i rybkę malutką ułowić. Ale nie o to im chodzi... Wszak żerowały gdzieś na polach przez noc całą, więc podążają teraz na wodę dla odpoczynku i dla miłego snu na ciepłej jeszcze toni wśród szuwarów,



w słońcu, gdzie czuć się będą bezpieczne przed atakiem sokoła, który już na dobre rozpoczął na nie polowanie, który ściga je i gnębi i krwawą daninę stale z nich wybiera. Stara kaczka, czujna przewodniczka i troskliwa matka, wie o tem i dlatego tak śpieszy na czele rodziny.

Nisko, przy ziemi w wiklinie zaświergotały żółte trznadle najpierw wesoło i głośno, potem ciszej, wreszcie urwały i umilkły zupełnie. Zauważyły bowiem, że z wysokiego drzewa zleciał ich wróg śmiertelny, okrutny, krwiożerczy krogulec. Zawsze głodny i zły podniósł się w chyżym locie nad zarośla, potem zawisł na chwilę w powietrzu na rozprostowanych skrzydłach, jakby pragnął jednem spojrzeniem całe łowisko ogarnąć, a dostrzegłszy ofiarę wśród rodziny szpaków lecących rozgwarzoną gromadą za rodzicielką na niedalekie ugory, uderzył na nie z impetem i zaraz porwał mniej lotnego, młodego ptaszka. Zapiszczało biedactwo w zaciśniętych szponach i ucichło...

Wrócił z nim do swego noclegowego drzewa, usiadł na grubej gałęzi, uśmiercił łup mocnem uderzeniem dzioba, począł skubać i rwać martwe ciałko kawałkami i pożerać łapczywie.

Przerażona rodzina pomknęła w milczeniu dalej i ukryła się w gąszczu starego świerka, zauważywszy nagle nadlatującego z boku, innego swego wroga, sokoła - kobuza, z którym w locie mierzyć się jeszcze nie mogła. Ale on zrezygnował na teraz z wypłaszania szpaków, bo może nie był głodny, bo może inne miał zamiary, i poszybował naprzód w obranym kierunku.

Leśnik zauważył krugulca i zaczął go podchodzić, ale czujny drapieżnik nauczony niejednem smutnem doświadczeniem, nie chciał czekać i ratował się szybką ucieczką, unosząc zdobycz z sobą...

Na wiosnę żyły w rewirze dwa krogulce. Skleciły sobie nawet gniazdo. Gdy samica, siedząc na jajach, zginęła od strzału, pozostał samiec i żył odtąd we wdowieńskim stanie.

Przerażony chwilowo śmiercią żony, odleciał daleko, w inne strony, przepędził tam w smutku całe lato, a teraz, na jesień, wrócił stęskniony do miejsca, w którem zaznał tyle rozkoszy miłości i ojcowskich już trosk. Lata więc często po rewirze i sieje dokoła siebie trwogę i zniszczenie.

Gdy nieraz miejscowe wrony lub sroki z nim harcują i odpędzić go pragną, stawia się im hardo, grozi dziobem i szponem i niejedno z nich piórko wydziera. Odgonić się jednak nie da...

Teraz, gdy go już człowiek zauważył, wybija jego ostatnia godzina i idzie ku niemu zimne przeznaczenie, śmierć pewną mu pisząc.

Ścieżką od strony pola galopuje zając. Ze słuchami na karku, z wyciągniętymi skokami, sadzi trzymetrowymi susami. Widocznie mocno przerażony, W brzasku porannym, we mgle i na tle zeschłych traw, ledwie go widać...

Był przed chwilą jeszcze daleko w polu, teraz jest już obok leśnika, ocierając się prawie o jego nogi. Mignął raz i drugi szarą plamą i znikł jak widziadło, jak duch... Dalej na czystem błysnął znowu białym omykiem, pokluczył tu i tam, uskoczył nagle w bok, wrócił swoim tropem i przepadł tajemniczo w burzanach...

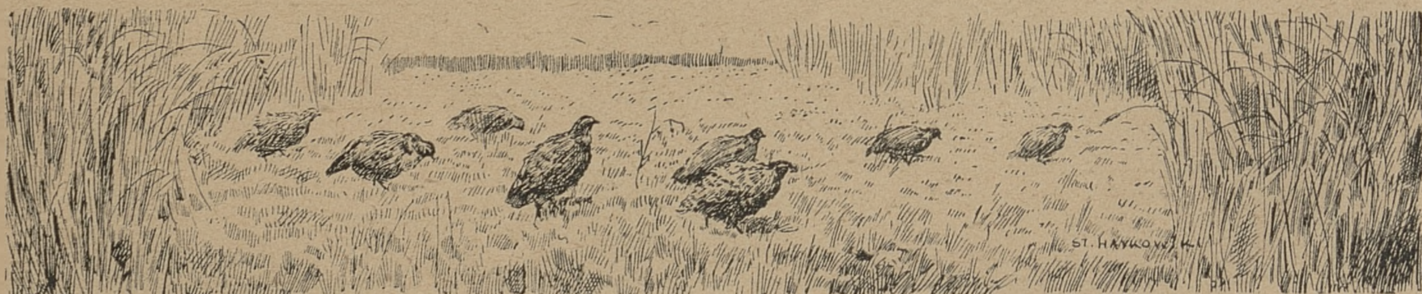
A miał się czego zlęknąć, bo wnet za nim, z nosem przy ziemi, z najeżoną groźnie sierścią i z miną bardzo poważną nadbiega pies... Wilczur stary, kundys oczywisty, z uciętym ogonem, z wylenionymi bokami... tropił szaraka. I byłby go może dopędził, rozdarł i pożarł, gdyby nie człowiek, patrzący ze zgrozą na tę tragedję... Rozległ się suchy trzask wystrzału i szkodnik czworonożny, trafiony celnie, podskoczył w górę, chwycił się zębami za bok, skowytnął nienawistnie raz i drugi, wywrócił kilka kozłów i legł martwy na polance.

Wrzask jego przedśmiertny wpadł niemiłym zgrzytem w ciszę poranka i zmącił ją na chwilę...

Wnet dało się słyszeć gdzieś w pobliżu wabienie kuropatwy: „czyryk, czyryk, ker, ker, tek, tek!" To głos ostrzegawszy starego koguta, tego najlepszego ojca wśród ptaków, troskliwie wodzącego swoje wyrośnięte już pisklęta. Prowadził je teraz na ściernisko, na śniadanie.

Nietylko własnemi, ale i cudzemi dziećmi zaopiekuje się on szczerze i sumiennie, przygarniając z tkliwością bezdomne sierotki. Nietylko je wyżywi i dobrze wychowa, ale i wyuczy napewno wszelakich mądrości życiowych. A jeśli zajdzie tego potrzeba, to i życiem własnem okupi ich bezpieczeństwo, bo odważny... psa nawet atakuje.

Oto niedawno szedł leśnik ze swoim wyżłem. Na ścieżce wśród łąki pies nagle przystanął, a po chwili się położył i przywarł twardo do ziemi. Zdziwiony tem, bądź co bądź niezwykłem zachowaniem się psa, myśliwy wodzi po ścieżce oczami i szuka przyczyny. I co widzi... Tuż przed psem, może na krok,



może na dwa od niego, stoi kogut. Z pierzem nastroszonem, z opuszczonemi skrzydełkami, z główką wyciągniętą, jak do walki, ani myśli się cofnąć... Zabawny był widok... Dwa stworzenia tak bardzo różne i tak sobie wrogie stają naprzeciw siebie i grożą sobie wzajemnie...

Człowiek zrozumiał bohaterską odwagę ptaka, wiedział, że tu chodzi o jego dzieci zaszyte gdzieś w bliskości w trawie, ocenił bezgraniczną miłość ojca i nie chcąc przeciągać struny, odwołał gwizdkiem Bekasa. Zeszli z drogi ptaszynie. A ta zniknęła zaraz w trawie, by pobiegnąć do dzieci, uspokoić je i pocieszyć, i opowiedzieć im o dobrym człowieku...

Gdy atoli nadejdzie listopad, kiedy wyschną już wszystkie trawy i zioła, w których kogut ukrywał swoją rodzinę, gdy nawet liście z drzew i krzaków opadną, a śnieg obfity ziemię białym całunem okryje i odsłoni wszystkie tajemne kuropatw kryjówki, gdy wreszcie nadciągnie z dalekich lasów ich wróg najgroźniejszy -- szary, wielki, mocny i szybki, jak piorun, jastrząb, wtedy i odwaga i wszelkie fortele koguta na nic się już nie zdadzą; straci pewność siebie i przytomność umysłu... I wówczas zawisa nad całem stadem straszliwe nieszczęście: ponura groza czającej się od świtu do nocy, niechybnej, okrutnej śmierci...

Ani szybkość lotu, ani zagrzebywanie się w śniegu, ani nawet błyskawiczne rozpierzchanie się wśród pościgu wroga, nie zabezpieczy strwożonych ptaków przed jego szponami. Dogoni upatrzoną kurę w locie, wyciągnie ją z pod śniegu, wydobędzie z pod krzaka...

Jeszcze gorzej dla kuropatw, jeśli wogóle nie mają się gdzie w zimie schronić i jeśli zabraknie remiz ochronnych lub choćby krzaków tarniny. Gonione i prześladowane na czystem, przywarowują w śniegu, wtykają weń główki i dają się porywać z niepojętą jakąś rezygnacją.

Jeśli kogut pomimo wszelkich obieży, jakie mu zewsząd grożą, cenne swoje życie ocali, przeprowadza wtedy rodzinę pod osłoną nocy zazwyczaj, w inne strony nieznane jeszcze gołębiarzowi, i tam ją przez kilka dni chowa, dopóki ciemnymi, okrągłymi punktami widocznymi zdala na śniegu, się nie zdradzi i nie narazi na ponowne, jeszcze zapalczywsze ataki, albo zrozpaczony wiedzie stadko nawet między opłotki do wsi, do sadów i gumien, narażając się tam na jeszcze większe niebezpieczeństwo, bo na sidła i łapki nastawiane przez przemyślnego kmiotka... Zdarzyć się wtedy może i to, że ani jedna kura nie doczeka wiosny.

Już słońce wschodziło, gdy z kurą w paszczy sznurował z pobliskiej osady do większego zagaju w rewirze — rudy lis.

A zdążał szybkim truchcikiem, jakby się bardzo śpieszył, do jamy, do swoich głodnych, już wyrośniętych i mogących na własny żyć rachunek, dzieci. Po całonocnem buszowaniu udało się matce-liszce upolować gdzieś tam na skraju wsi, na jakiemś obejściu marną, chudą kwoczkę. Niesie ją teraz czekającym na nią dzieciom i rozmyśla ze smutkiem nad tem, jak to przyjdzie jej walczyć z niepożądanym sąsiadem, opasłym borsukiem, który przybył niedawno, gdzieś ze świata i zajął dla siebie wygodną norę w pobliżu jej mieszkania. Już nawet zaczął się w niej urządzać na zimę i wyściełać legowisko suchymi liśćmi i mchem, by całkiem wygodnie się położyć i zasnąć na długo.

Ale bić się z nim będzie do skutku, dopóki przybłędy za dziesiątą górę nie przepędzi.

Nie snuj, dzielna liszko, zbyt rozległych planów na przyszłość, nie łudź się pozornem bezpieczeństwem w swoim zameczku, nie upajaj się łatwem zwycięstwem nad borsukiem, ale umykaj wraz z dziećmi jaknajprędzej, co tchu, z tego miejsca !

Już się tobą i twojemi dziećmi i borsukiem nawet zaopiekował patrzący na ciebie dzisiaj, czujny leśnik i ułożył sobie polowanie na was... Czeka tylko na wasze puszyste futerka, aby gęściejszemi się stały.

Że ci się, liszko, udało założyć gniazdo w rewirze i wychować zdrowo swoje dzieci, to stało się li tylko za wiadomością i cichem przyzwoleniem człowieka, który chciał cię koniecznie mieć u siebie...

Z innej strony podążał w tym czasie krokiem niepewnym, czającym się, kocim, ku swej chacie, inny znowu rabuś, już nie rudy, ani skrzydlaty i nie na czterech łapach, ale na dwu, z sieciami na zgarbionym grzbiecie i z pełną sakwą ryb ukradzionych w ciągu nocy w pobliskich stawach.

Leśnik, syt wrażeń odebranych w jednym, długim poranku jesiennego dnia, świadom także całego bujnego życia w swoim rewirze, opuścił powoli na widok złodzieja stanowisko i szedł naprzeciw niego, aby się z nim krótko na swój sposób rozprawić.

WŁADYSŁAW GUERTLER.



KALENDARZ MYŚLIWSKI NA ROK 1931.

Do

Szanownych Czytelników Łowca Polskiego.

W połowie grudnia r. b. ukazał się Informacyjny Kalendarz Myśliwski na rok 1931 wydany przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

Kalendarz wzorowany na świetnych rocznikach myśliwskich pod red. J. Sztolcmana, wydawanych przed wojną przez Łowca Polskiego, opracowany przez wybitnych hodowców-myśliwych, zawierać będzie niezbędne wskazówki i porady hodowlane, obowiązujące przepisy prawne, wzory prowadzenia polowań i t. p.

Wśród szeregu działów na specjalne podkreślenie zasługują działy broni i psów.

Kalendarz winien się znaleźć w rękach każdego racjonalnego myśliwego, a nadzwyczaj niska cena Zł. 4·00 bez kosztów przesyłki, uprzystępnia wszystkim nabycie Kalendarza.

W przekonaniu, że Kalendarz należycie spełni swoje zadanie i nie obciąży zbytnio kosztami pp. myśliwych, pozwalamy sobie wszystkim naszym stałym czytelnikom wysłać Kalendarz za zaliczeniem pocztowem.

Jednocześnie zwracamy się do wszystkich naszych Szanownych Czytelników, aby w imię szerzenia kultury łowieckiej żądali nadesłania im Kalendarza i zachęcali do jego nabywania.

REDAKCJA
INFORMACYJNEGO KALENDARZA MYŚLIWSKIEGO
NA ROK 1931.

ZE STOSUNKÓW MYŚLIWSKICH PRZED 300 LATY.

P. Alfons Froehlke wydrukował w „Przeglądzie Leśniczym" większy artykuł, omawiający „instrukcję służbową dla leśniczych, obowiązującą przed trzema wiekami".

Materjał wzięto z archiwum księcia w Pszczynie. Dokument napisany jest w języku niemieckim z datą 1651 roku.

Między innemi instrukcja obejmuje specjalne stosunki łowieckie, według których każdy leśnik-strzelec miał obowiązek pilnować, aby nie rąbano drzew w obrębach, w których zwierzyna ma swoją ostoję.

Pozatem winien pilnować, by obcy strzelcy, myśliwi i złodzieje nie strzelali do zwierzyny, jej nie chwytali i tropili. Jeżeli zauważy podobne wypadki, natenczas nie należy mu tego zataić, przeciwnie winien o tem natychmiast wiernie i pilnie donieść panu lub jego nadleśniczemu, bez względu na to, kim i czem jest napotkany.

W wypadku, gdy spotka w lasach własności pana, obcych strzelców, myśliwych i złodziei, szkodę w zwierzostanie wyrządzających, winien stanąć w obronie lasów, jego pieczy oddanych, i starać się o schwytanie złodziei bez lub za pomocą gajowych i o obsadzenie ich w miejscu bezpiecznem lub też o unieszkodliwienie ich innymi środkami. Za to otrzyma ze skarbca pana odpowiednie wynagrodzenie.

W razie gdy pan zechce uraczyć się polowaniem, tropieniem lub ustawianiem sideł, lub gdy tak rozkazuje jego nadleśniczy, winien być każdorazowo przy tem obecny.

Zabrania mu się wszelakiego chwytania zwierzyny i strzelania do niej bez polecenia pana lub jego nadleśniczego. Przedewszystkiem zwraca mu się uwagę pod tym względem na zające, głuszce, lisy, cietrzewie i jarząbki.

Strzelcowi „przyznano" 2 funty prochu, pół kamienia (ok. 12 f.) ołowiu i 10 talarów śląskich za przychwycenie kłusownika.

ZIMOWANIE KUROPATW W TATRACH.

O sposobie bytowania kuropatw podczas ostrej zimy 1928-29 w Dolinie Pięciu Stawów w Tatrach opowiada p. Stanisław Leszczycki w organie Państwowej Rady „Ochrony Przyrody" między innemi co następuje:

6 kuropatw zimowało w dolinie Pięciu Stawów między głazami i śniegiem i nie zeszło do poniżej leżącej doliny Roztoki. Żyły na południowym brzegu Wielkiego Stawu, wygrzebując sobie wokół głazów trawę, skubiąc mchy na kamieniach. Miejsce obrane na żerowisko, było prawie zawsze bezśnieżne. Gdy dolinę zalegała pokrywa śnieżna, sięgająca do 2 m.,

tu nie wynosiła ona więcej jak 30 cm.; to też sterczały w niej liczne głazy powodujące w dnie słoneczne, tajanie przylegającego do nich śniegu. Tak więc po dwóch lub trzech dniach bez opadu tworzyła się kotlina, a między głazami tu i ówdzie odsłaniała się trawa. Miejsc takich, stale prawie bezśnieżnych w dolinie zauważono trzy: Góra Ryglowa nad schroniskiem o ekspozycji połud.-zach., północne stoki Kotelnicy (wielka stromizna), południowe brzegi Wielkiego Stawu. Prócz tego poruzrzucanych było mnóstwo głazów przez cały ten okres wogóle niepokrytych śniegiem. Kuropatwy żerowały więc tutaj, wycisnęły sobie gniazdo w śniegu, analogiczne do dwukrotnie już poprzednio zauważonego. Spłoszone, odleciały w kierunku Czarnej Ławki.

W kilka dni potem znów się oziębiło, nastała kurniawa, zima. Do schroniska podczas Wielkanocnych Świąt ściągnęły rzesze narciarzy. Ślady kuropatw zniknęły. Następnie natrafiono na stadko kuropatw dn. 18.IV.

APEL DO PP. MYŚLIWYCH.

Zakład Anatomji Porównawczej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie posiada w swoich zbiorach pewną ilość czaszek naszych lisów krajowych i zamierza przystąpić do opracowania tego gatunku. Do badań tych niezbędnie potrzebna jest wielka ilość materjału pochodzącego ze wszelkich okolic Polski, a przedewszystkiem czaszek, by móc opracować to zwierzę tak interesujące i ze względów myśliwskich w sposób możliwie wszechstronny. W tym celu zwracam się **do wszystkich Myśliwych** z gorącą prośbą przyjścia z pomocą przez łaskawe nadsyłanie pod niżej podanym adresem **czaszek** zabitych przez nich w tym sezonie myśliwskim lisów. Aby materjał ten mógł być należycie wyzyskanym, musi spełniać kilka niezbędnych danych. Należą do nich: **oznaczenie płci, wieku (tegoroczny lub starszy), wreszcie miejscowości i powiatu, w której został zabity.** Dane te należy wypisać na kawałku papieru lub tektury załączonej do przesyłki. Bardzo pożądane byłoby określenie w kilku słowach barwy i jakości futra. Czaszki powinny być obielone i o ile możliwe pozbawione najgrubszych partyj mięsnych. Przesyłki najuprzejmiej proszę kierować pod adresem Zakładu Anatomji Por. U. J., bądź tej niżej podpisanego.

Kraków, Św. Anny 6.

DR. KAZIMIERZ WODZICKI, Docent U. J.

Z TOW. ŁOW. WOJEW. WILEŃSKIEGO.

Na walnem zebraniu Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego, odbytem w ubiegłym miesiącu pod przewodnictwem prezesa, p. Bolesława Świętorzeckiego, sprawę zmiany statutu referował p. M. Pawlikowski. Uchwalono zmienić nazwę Towarzystwa na „Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich"; wprowadzić instytucję członków — sympatyków. Dla członków rzeczywistych ustanowiono składkę 17 zł. i wpisowego 5 zł., dla sympatyków 8 zł. i 2 zł., dla stowarzyszeń i kółek po 1 zł. od członka i po 25 gr. wpisowego. Na protektora Towarzystwa wybrano p. wojewodę wileńskiego, obecnego marszałka senatu, Władysława Raczkiewicza.

BACZNOŚĆ MYŚLIWI-HODOWCY.

Nadeszła zima, a z nią czas ciężki dla zwierzyny. Należy zdwoić ochronę i pamiętać o podkarmianiu zwierzyny.

Kronika myśliwska.

Czy złożyłeś już opłatę na budowę Domu Łowieckiego od zabitej zwierzyny?

—W.— W dniach 3 i 4 grudnia ubito we Wrześni u hr. E. Mycielskich w 8 strzelb: 2 dziki, 602 zajęcy, 34 królików, 51 bażantów i 11 różnych. W dwóch miotach leśnych było 37 dzików: strzelano do ośmiu. Królem polowania był hr. Stefan Tyszkiewicz.

—S.— Dnia 1 grudnia odbyło się polowanie w Koszelewie p. Henryka Steinhagena. W 12 strzelb w dziewięciu miotach leśnych i jednej sztrajfie polnej zabito 622 zające, 59 bażantów, 9 królików i 1 lisa, ogółem sztuk 691.

—o—Z wyników podanych w „Łowcu" przytaczamy w streszczeniu:

Dn. 15 listopada w Olszanicy na polowaniu Polskiego Towarzystwa Myśliwych w Złoczowie ubito w 6 kotłach i 2 miotach polnych 99 zajęcy.

Dn. 22 listopada na polowaniu tegoż Towarzystwa w Różowoli na polach — 55 zajęcy.

W lesie rewiru Kąkolniki w części Detiatyn i Podolanka w Małopolsce dn. 6 i 7 listopada ubito 98 zajęcy, 7 lisów i 2 słonki.

W lasach s. o. Oikos w pow. Radziechowskim dn. 18 i 19 listopada ubito 1 wycinka, 1 rogacza z rogami, kulą; 1 lisa i 20 zajęcy.

—o— Z wyników podanych w Dodatku Łowieckim „Słowa" wileńskiego przytaczamy w streszczeniu:

W Malinowszczyźnie p. Bolesława Świętorzeckiego w pow. mołodeczańskim dn. 3 listopada na polowaniu z naganką złożoną z 14 ludzi, pp. Leon Butler i właściciel ubili 3 wilki i 7 zajęcy.

W nadleśnictwie państwowem Zatroczańskiem dn. 1 i 2 listopada na polowaniu Wileńskiego Towarzystwa Myśliwskiego zabito 1 lisa, 15 zajęcy i 2 słonki.

W nadl. państw. Kieńskiem na polowaniu tegoż Towarzystwa w dn. 9 listopada zabito 2 lisy, 50 zajęcy i 1 jarząbka.

W Szumsku u p. J. Strumiły dn. 1 i 2 listopada ubito 11 zajęcy.

W Rudce p. Jana Dłużniewskiego w pow. Postawskim dn. 12 listopada zabito 18 zajęcy, 1 jarząbka i 2 cietrzewie.

W Mieczysławowie i Czuczeliczach pow. Postawskim dn. 1, 2, 3 i 4 listopada zabito z gończymi 18 zajęcy.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Artur Zaremba Cielecki, wieloletni członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, zmarł w Krakowie, przeżywszy lat 80. W kniejach Zmarłego: Podchowy i Radynkowice, odbywały się znakomite polowania.

Ś. p. Kazimierz Czapla, doktór, członek Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego w Katowicach i

Ś. p. Paweł Kiełbasa, członek tegoż Towarzystwa, zmarli niedawno, byli dobrze zasłużeni sprawom łowiectwa. Cześć Ich pamięci!

Wiadomości bieżące.

— **Podarowanie niedźwiedzia.** — Podczas pobytu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej na Wileńszczyźnie podarował Mu niedźwiedzia p. Bolesław Świętorzecki, wiceprezes Polskiego Związku Stowarzyszeń Myśliwskich, znany i wielce ceniony pisarz myśliwski.

— **Feljeton myśliwski w radio transmitowany z Warszawy na wszystkie stacje Polski.** — Przypominamy, że p. Aleksander Janta-Połczyński wygłosi w dniu 27 grudnia b. r. o godz. 8 wieczorem p. t.: „Biały sezon myśliwych" feljeton transmitowany ze studja radjostacji warszawskiej **na wszystkie stacje Polski** z wyjątkiem Poznania.

W radjo poznańskiem wygłoszony zostanie odczyt Aleksandra Janty-Połczyńskiego p. t.: „Polujemy na białej stopie" dnia 25-go grudnia.

— **Ochrona łosia.** — Pan minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, na wniosek swego delegata do spraw ochrony przyrody, prof. Władysława Szafera, wystąpił do p. ministra Rolnictwa z prośbą o wydanie specjalnych zarządzeń w celu ochrony łosia.

— **Nagrody na wystawie wileńskiej.** — Na wystawę drobiu, odbytą w Wilnie, dostarczono także 18 psów i 95 królików. Za psy wydano 2 medale srebrne, 2 bronzowe i 6 listów pochwalnych. Nagrodę pieniężną przyznano inż. Horskiemu za inkubator własnego pomysłu.

— **Wykopaliska rogów.** — „Ziemia" donosi, że w wojew. wileńskiem pow. dziśnieńskim, we wsi Słobodzia na głębokości 2 metrów wykopano doskonale zachowany róg byka piżmowego (Ovibos moschatus); miejsce to znajduje się w odległości 10 metrów od rzeki Dzisienki. Badań naukowych i rozkopywań nie robiono. Róg nabył p. architekt Eljasz Ostoja-Piechowski, zamieszkały w Warszawie przy ul. Elsterskiej 8.

W woj. wileńskiem pow. lidzkim w majątku Nacza w torfie wykopano rogi jelenia olbrzymiego (Cervus megaceros), wielkość 92 cm. Rogi te zostały ofiarowane p. St. Jarockiemu przez właściciela Naczy, znanego archeologa, ś. p. Wandalina Szukiewicza. W dobie obecnej, w czasie prac nad osuszeniem bagien i błot kresowych, należałoby większą zwrócić uwagę na te pamiątki dawnej przyrody, ukryte w torfach i mokradłach... Nazwy rogów określał dr. Halicki z Warszawy, geolog.

— **Choroby psów na kongresie.** — Ze sprawozdań zamieszczonych w „Wiadom. Weteryn." z odbytego w Londynie, mieędzynarodowego kongresu weterynarzy, przytaczamy trochę szczegółów, dotyczących specjalnie psów.

L. Taylor z Weybridge omówił rodzaje glist i ich umiejscowienie się w organizmie. Na każdy rodzaj glist musi być stosowany środek specyficzny. Np. ol. chenopodii przeciw glistom u psów. Dr. Schulz z Moskwy: Santonina i jej pochodne są swoistymi środkami przeciw glistom (ascaris) dla psów. Dawki powinny być zwiększone.

Dr. O. Buberman (Buitenzorg-Java): W Indjach Holenderskich istnieją 2 rodzaje trypanosomiasis: „Surra" i „Dourine"; zwłaszcza pierwsza dość często się spotyka i przynosi wielkie straty. Choroba udziela się psom i bawołom. Dla psa choroba jest śmiertelna, u bawołu przybiera formę chroniczną, często ukrytą. Środkami leczniczymi są Naganol i Atoxyl.

Do „Stałej Komisji" kongresu wybrano z Polski prof. d-ra Z. Markowskiego.

— **Z poznańskiego zwierzyńca.** — W drugiej połowie grudnia oczekuje tygrysica potomstwa. Ponieważ dotąd wykazała wielką niezdolność do wykarmienia i wychowania swych młodych, dlatego dyrekcja stara się o sukę, którаby młode tygrysy wykarmiła. Właścicieli suk, które około 20 grudnia także oczekują młodych, prosi dyrekcja Ogrodu Zoologicznego, aby zechcieli ofiarować swe psy-suki do wykarmienia młodych tygrysów. Wszelkie koszty będą chętnie zwrócone.

— **Białe orły.** — W Tyrolu istnieje przesąd, że zjawienie się białego orła ma być zwiastunem srogiej i ostrej zimy. Podobno w roku 1928, kiedy była tak sroga zima, pojawiły się w górach białe orły, których kilka sztuk zastrzelili myśliwi. Zmianę upierzenia orłów przypisywali górale tyrolscy niezwykłemu obniżeniu się temperatury na początku zimy.

— **Polowanie na żyrafy.** — Żyrafy afrykańskie dochodzą do 5 metrów wysokości, przyczem rosną w młodości niebywale szybko. W ciągu pierwszych lat przybywa im rocznie 1 metr wzrostu przeciętnie.

Rząd angielski udziela za dość dużą opłatą (około 400 zł.) pozwoleń na polowanie na żyrafy. Pozwolenia są ważne na rok, w którym to czasie wolno zabić tylko jedną sztukę.

SZARADA ŁOWIECKA
(z nagrodami).

Przybyliśmy do lasu —
Wedle łowów czasu —
A nasze *pięć* — *trzy* — *drugie*
Za chwilę ziszczą się niedługie,
A *pierwszy* — *szósty* obfity
Będzie!
— O! Co to? Kobity?
I pośród nich, *trzy* — *ósma* jest
Cacy! Czynimy jurny gest —
Wchodzimy w chaty kąty —
Gdzie święty *drugi* — *dziewiąty*
Na ścianie smoka morduje,
Z czego się jasno wnioskuje,
Że *dziesięć* — *drugie* tu nie żyją!
Dwa — Den z nas woła: — Lilijo!
— Co się tam *ośm* — *dziewięć* w garnku?
(Mówił *siedm* jeden o złotym zegarku,
Bez wprawy lubił polować,
Dziś miał nas skompromitować...)
A ona: — Bigos, paniczu!
Siadamy tedy przy zniczu —

Czyli w pobliżu komina:
Dwa — cztery! A trzy — wczyna
Pięć — jedenasty talerz dokłada —
Łowiectwu rada... Dama ta...
A mieszczuch: — co się *siedm trzy — dwa?*
— Nakładaj panno! *siedem jedenasty*
— Talerz, a dołóż omasty!
Zapłaciliśmy, co było warte,
Idziemy: *jeden — dziesięć — czwarte*
lasu, witają poważnie nas,
Łowieckie *cztery — siódme* zbierać czas!
Nad nami *pięć — ósma* drzew —
Porusza zlekka ją zefiru wiew...
Nagle, mieszczuch się przykłada —
Pali! Coś w zaroślach pada!!
Biegną baby! Krzyk! Ach tak!
— Zabił! To nasz *szósty* wspak!!

M. OSTOJA.

Do rozlosowania 2 nagrody: „Kalendarz Myśliwski" na rok 1931 i 50 nabojów.

Termin nadsyłania rozwiązania upływa dnia 10 stycznia.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 47 w Kronice Myśliwskiej („W") wskutek nieczytelnego pisma wydrukowano „Marszewie" zamiast „Skarszewie" i „Bonewski" zam. „Borzewski".

W Nr. 49 w Kronice Myśliwskiej („W") wydrukowano „Skawinie" zam. „Skarżewie" i „1446" zam. „1546", co zresztą łatwo sprawdzić, gdyż suma wyliczonych sztuk zwierzyny wynosi właśnie razem—1546.

Pozatem uzupełniamy opis tem, że majątek, w którym odbyło się polowanie, jest własnością pp. Stanisławostwa Wyganowskich.

Wiadomości handlowe.

— **Opakowanie dziczyzny.** — W Niemczech przewozi się ją luzem. Sztuki są zawieszone za tylne skoki, na drążkach opartych na stojakach. W celu umożliwienia ściekania krwi nie są one powiązane ani poowijane. Ptactwo dzikie przewozi się w koszach wiklinowych i skrzynkach płaskich, wyłożonych papierem. Warstwy przedzielone są papierem. Skrzynki umożliwiają dostęp powietrza. Spotykane skrzynie mają wymiar 90 × 60 × 50 cm.

W Szwajcarji dużą popularnością cieszą się drobne przesyłki 5 kg., zawierające zająca, bądź po kilka sztuk dzikiego ptactwa. W tym przypadku towar musi być niezwykle starannie opakowany, przesyłka bezwzględnie zabezpieczona przed ewentualnem wydostawaniem się krwi nazewnątrz.

W Wielkiej Brytanji powszechnie przyjęte opakowanie stosowane przy dziczyźnie nadchodzącej na rynek angielski, stanowią kosze wiklinowe lub skrzynki płaskie o wymiarach podobnych do przyjętych w Niemczech. Towar przychodzi najczęściej zamrożony i niepaproszony. Opakowanie jest nieszczelne, dla łatwego dostępu powietrza. W każdej skrzynce jest 10 zajęcy umieszczonych na grzbietach jeden obok drugiego, lub odpowiednia liczba innej zwierzyny. Ptactwo umieszcza się najczęściej w koszach po 50 do 100 sztuk w każdym, zależnie od wielkości sztuk. Towar jest posegregowany bardzo starannie. Bardzo często firmy opakowują każdą sztukę w papier.

— **O jamy dla lisów.** — Szczególne trudności sprawiało dotąd prowadzenie farm lisich z tego powodu, że lisy nie chciały włazić do jam kopanych im sztucznie przez ludzi, i skutkiem tego marniały, gdyż tylko rzadkie okazy przyzwyczajały się do życia bez nor, same zaś nie chciały w niewoli kopać ich sobie.

W miejscowości Elko w St. Zjedn. wpadli właściciele farmy na kapitalny pomysł. Wiedząc, że na wolności lisy chętnie kryją się w norach kopanych przez jamnika, wprowadzili ten pomysł u siebie. Wynik jest taki, że dziś jamnik kopie nory, a lisy chętnie zajmują je na stałe mieszkanie.

— **Ceny futerek.** — W bieżącym miesiącu zanotowano w Bydgoszczy ceny hurtowe futer w zakupie loco Bydgoszcz: Zające za sztukę 1.50 zł., króliki 2.00 zł. za kg., lisy 10—40 zł. za sztukę. Kuny kamionki 90 zł. za sztukę, kuny leśne 100 zł. za sztukę, tchórze 4—18 zł. za sztukę, wydry 100 zł. za sztukę. Wydry i kuny kamionki wyżej, reszta bez większych zmian. W porównaniu z rokiem ubiegłym tendencja słaba, ceny spadły o 50 proc.

— **Hodowla zwierząt futerkowych.** — Na międzynarodowym zjeździe hodowców zwierząt futerkowych stwierdzono między innemi, że potomstwo w drugiej lub trzeciej generacji lisa srebrzystego, skrzyżowanego z czerwonym, może wydać na oko, ładne okazy, lecz przy dalszem pokoleniu okazuje się kolor rudawy i skóra jest wówczas bezwartościowa. Przy lisach licencjonowanych, posiadających papiery z Unji, powyższe nadużycia są wykluczone. W handlu spotyka się często lisy srebrzyste z papierami, lecz przy bliższem badaniu okazuje się, iż są wystawione przez jakiś komitet, składający się z agentów — handlarzy, lub przez jakąś amerykańską fermę, co nie daje gwarancji, że zakupiony towar nadaje się do rozpłodu. Fakt powyższy zdarzył się w Prusach Wschodnich przy licencjonowaniu zeszłorocznem, tak, że jedna z ferm, przedstawiająca 42 lisy na komisji licencyjnej, miała 38 sztuk z rudawym włosem i musiała je w ciągu dwóch miesięcy zabić.

W ostatnim czasie objeżdżają agenci norwescy większe miasta Polski, starając się sprzedać lisy srebrzyste. Materjał ten jako zarodowy jest choćby już dlatego niepełnowartościowy, że jego potomstwo nie zostanie rejestrowane przez Unję, przez co hodowca będzie miał trudności przy sprzedaży i może ponieść znaczne straty.

— **Modne futra.** — Karakuły, będące zawsze jednem z najpraktyczniejszych i eleganckich futer, przy-

bierane są skunksami, norkami albo gronostajami. Pozatem noszone są futra o tonach bronzowych. Mniej modne są w ostatnich czasach foki; robi się z nich płaszcze o charakterze raczej sportowym, z paskami.

Wśród francuskich modeli pojawiają się futra półdługie, o kroju fantastycznym, szyte w pasy, przybierane suto puszystem futrem. W tych kosztownych fantazjach przeważa breitszwanc z lisami albo gronostajami.

Dość dawno niewidziana kurtka futrzana stała się tego roku bardzo modną. Noszona ona jest nietylko do sportu, ale i na ulicę. Niektóre elegantki paryskie noszą kurtki gronostajowe bez rękawów do sukien wieczorowych.

Obiecują, że powróci w tym roku do mody dawno niewidziana mufka. Ma ona być mała, tak, że ledwie ręka się w niej schowa.

Na wielkie mrozy będą szaliki i chustki z futer albo z materjału, obszywane futrem, praktyczniejsze i dające więcej ciepła aniżeli zsuwający się na ramiona lis. Najodpowiedniejszym fasonem kapelusza do futra jest beret.

OPERATOR FILMOWY W ROLI KUGLARZA.

Dwaj angielscy operatorzy filmowi, uzbrojeni we właściwy anglikom upór i aparaty kinematograficzne, przebywali już dłuższy czas w Północnej Laponji, aby utrwalić na swej taśmie tryb życia i obyczaje tamtejszych mieszkańców. Ze względu jednak na niezwykłą podejrzliwość lapończyków, zadanie to nie należało bynajmniej do łatwych i operatorzy musieli uciekać się do różnych podstępów, aby przezwyciężyć obawę ich przed objektywem. Dopiero po pokazaniu im kilku sztuk kuglarskich lapończycy nabrali nieco zaufania do anglików, których mieli za lekarzy. W związku z tem zaczęli się do nich nawet zwracać o porady lekarskie. Cóż tu można było począć? Na szczęście anglicy mieli za sobą pewną ilość oryginalnych tabletek Aspirin, znanych powszechnie jako niezawodny środek przeciwko zaziębieniom, influenzie, grypie, reumatyzmowi i t. d. W ten sposób udało się naszym operatorom filmowym uśmierzyć cierpienia niejednego lapończyka i pozyskać szybko ich zupełne zaufanie. Umożliwiło to dokonanie szeregu ciekawych zdjęć, które operatorzy z tryumfem przywieźli do Anglji.

SZANOWNYM CZYTELNIKOM

„Łowca Polskiego“ redakcja przesyła życzenia Wesołych świąt!

— o —

Numer niniejszy jest ostatnim w roku bieżącym.— W sobotę dnia 27-go, z powodu świąt Bożego Narodzenia, numeru nie wydajemy. Następny numer wyjdzie w sobotę d. 3 stycznia 1931 r.

PRENUMERATA NA ROK 1931.

Do dzisiejszego numeru „Łowca Polskiego“ załączamy dla wszystkich PP. Prenumeratorów przekazy P. K. O. 80-82, w celu ułatwienia przesyłki prenumeraty na rok 1931.

W interesie PP. Prenumeratorów leży jaknajwcześniejsze nadesłanie opłaty, o ile chcą regularnie otrzymywać pismo.

Przypominamy, że z przyczyn wyłuszczonych w obwieszczeniu zamieszczonem w Nr. 48 „Łowca Polskiego“, prenumerata podrożała o 1 zł. kwartalnie, czyli 4 zł. rocznie.

PROŚBA DO PP. PRENUMERATORÓW.

Do numeru dzisiejszego załączamy, oprócz zwykłego przekazu P. K. O., jeszcze jeden, w nadziei, że życzliwi zechcą wręczyć zbywający przekaz swoim znajomym myśliwym w celu zachęcenia ich do zaprenumerowania „Łowca Polskiego“.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery—po 20 gr., najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich“ 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stow. Łowieckich.

OGŁOSZENIA DROBNE.

Aby wyprzeć towar zagraniczny, kupujcie zające i kuropatwy w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

Bażanty Torquatusy zdrowe i ładne sprzedaje po cenach niskich Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

Do sprzedania 10 miesięczna pointerka biała w żółte łaty wysokiej linji z pełną tresurą po psach nagradzanych na próbach polowych i wystawie. Wiadmość Warszawa Wolska 4 B. Milewski.

Komu zależy na dobrym zwierzostanie, ten zaopatruje się w zające w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny w Łukawicy p. Stryj.

Kuropatwy najlepsze i najtańsze dostarcza Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

Leśnik (gajowy-strzelec) poznańczyk dobrze polecony. Obeznany z hodowlą bażantów i chwytaniem żywej zwierzyny sieciami poszukuje posady. Kurzawski leśnictwo Włyń Polesie III gmina Rososzyca powiat Sieradz woj. Łódzkie.

Leśnik bażantarnik Wielkopolanin dzielny w swym zawodzie zamiłowany hodowca zwierzyny specjalista w tępieniu drapieżników znajomościa zakładania szkółek i kultur leśnych z kilkoletnią praktyką w wzorowych lasach z dobremi świadectwami szuka posady od 1 stycznia 1931 roku lub później Łaskawe zgłoszenia do Leśnictwo Bachorzew poczta Jarocin dla bażantarnika.

Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj, poleca wszelkie gatunki żywej zwierzyny dla odświeżania krwi.

Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj, jest prowadzona najbardziej fachowo i dlatego prawdziwi znawcy hodowli zwierzyny zwracają się do niej, a nie do innych firm.

Myśliwi, którzy dbają o swoje łowiska, zaopatrują się w żywą zwierzynę w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny w Łukawicy p. Stryj.

Najtańszem źródłem zakupu dla celów rozpłodowych jest Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

Polscy Myśliwi kupują żywą zwierzynę tylko krajowego pochodzenia w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny w Łukawicy p. Stryj.

Prosimy nie zwlekać z zamawianiem zwierzyny w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny, Łukawica, poczta Stryj.

Prosimy żądać cenników na żywą zwierzynę. Adres: Małopolska Hodowla Zwierzyny, Łukawica, poczta Stryj.

Przez dobór pierwszorzędnego personelu i przez dużą wiedzę fachową, dajemy gwarancję najlepszej dostawy. Małopolska Hodowla Zwierzyny, p. Stryj.

Radzimy sprowadzać tylko krajową zwierzynę z Małopolskiej Hodowli zwierzyny w Łukawicy, poczta Stryj.

Tylko przez sprowadzanie żywej zwierzyny uzyska się zwiększenie rezultatów polowań. Sprowadzajcie więc żywą zwierzynę krajową.

Zające leśne i polne pierwszorzędnej jakości do dostania tylko w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny, Łukawica, poczta Stryj.

Żywe bażanty, kuropatwy, zające, dzikie króliki, **nasiona i rośliny** pastewne, dla zwierzyny poleca po umiarkowanych cenach. **Nadleśnictwo Babki,** poczta Krzesiny. Wielkopolska

Leśniczy rutynowany

(poznaniak) z kilkoletnią wzorową praktyką i ukończoną szkołą leśną, umiejący wzorowo prowadzić eksploatacje, porąb i kultury leśne, znajomość hodowli zwierzyny i rybołówstwa, przyjmie posadę, oferty proszę skierować (pod) ZARZĄD LASÓW OSTRÓW REDAKCJA ŁOWIEC POLSKI



Chroń przed grypą! Panflavin w pastylkach

Do nabycia we wszystkich aptekach.



P. P. MYŚLIWI!

żądajcie we wszystkich składach broni

Krajowy bezdymny proch „Sokół"



Państwowej Wytwórni Prochu
w Zagożdżonie
nieustępujący najlepszym prochom zagranicznym oraz



znakomite naboje śrutowe „Sokół"

Warszawskiej Spółki Myśliwskiej

albo

Warszawskiej Fabryki Amunicji

ŻYWE PUHACZE

wiadomość f. J. SOSNOWSKI
WARSZAWA, OSSOLIŃSKICH 1.

ŻYWE
ZAJĄCE
BAŻANTY
KUROPATWY
z własnych terenów krajowych

poleca

Małopolska Hodowla Zwierzyny
W ŁUKAWICY
POCZTA STRYJ
WOJEW.
STANISŁAWÓW

Straszniejsza od tygrysa.

Chłopiec szewcki, będąc w menażerji, widział, jak do klatki tygrysa wszedł pogromca i wyszedł z niej szczęśliwie. Podziwiając tę śmiałość pogromcy tak strasznego zwierza, jakim jest tygrys, rzecze:

— To nic! Ale gdyby moja majstrowa siedziała w klatce, to niezawodnie bałby się wejść do niej.

NITSCHE i SKA

SPECJALNA FABRYKA MASZYN I NARZĘDZI DO NOWOCZESNEJ KULTURY ROLNEJ.



POZNAŃ, UL. KOLEJOWA 1—3.
Skrót telegraf.: NITSCHESKA,
telef.: 6043, 6044, 6906 i 1478.

Dostarcza wszelkie maszyny i narzędzia rolnicze

WŁASNEJ FABRYKACJI:

3-krotnie opatentowany wypielacz do zboża i buraków „KORONA — PATENT".
Siewniki do wszelkich sztucznych nawozów „ELITE" (Patent własny).
Włóki do roli „PATENT NITSCHE".
Dołowniki i sortowniki do kartofli.
Kopaczki do kartofli „STELLA" (Pat. wł.).
Siewniki do zboża „SIMPLEX" (system Dehne) z rylcami Dr. Burmestra lub Siemieńskiego.
Wialnie, młynki i żmijki do czyszczenia i sortowania ziarna,
Kieraty, siekacze do okopowych, śrutowniki, toczaki do ostrzenia kos, żniw., wózki i kółka podporowe do maszyn żniwnych i t. d.

Wielki oddział reparacyjny!
Dzielni inżynierowie i monterzy specjaliści do dyspozycji!

REPREZENTOWANYCH FABRYK:

LANZA młócarnie parowe i motorowe bukowniki do koniczyny, traktory ropowe LUEHLERBULLDOG.

WODFA lokomobile parowe-rolnicze i przemysłowe, silniki DIESLA pługi parowe.

BAECHERA narzędzia przyczepne do traktorów.

MELICHARA żniwiarki i kosiarki, siewniki do zboża, siewniki do nawozów.

LISTERA angielskie motory przewoźne i stacjonowane dla rolnictwa i przemysłu.

Szczegółowe oferty i katalogi rozsyłamy na żądanie!

Magistrat miasta Torunia poleca:

Żywe zające dla odświeżenia krwi w stosunku jednego samca na dwie samice po cenie: Samce po 30.— zł, samice po 50.— zł. za sztukę.

Żywe bażanty a) **krajowe** koguty obrożne po 10.— zł. kury po 15.— zł. za sztukę, b) **krzyżowane** — mongolskie. Koguty szerokoobrożne po 15 zł. za sztukę, kury po 20 zł. za sztukę. Ostatnie są większe od bażantów krajowych i wytrzymalsze na zimno.

Jednocześnie wysyła się na życzenie cenniki na sadzonki drzew i krzewów wyhodowanych we własnych szkółkach, oraz sadzonki wikliny amerykanki i szpagatówki (rubry) z własnych plantacyj wiklinowych.

Przyjmuje się zamówienia na dostawę jaj bażancich w porze wiosennej po cenie z I. lęgu do 30 maja po 1.50 zł. za sztukę, II. lęgu po 15 maja po 1.00 zł. za sztukę. Przy odbiorze większej ilości, odpowiedn rabat.

Zamówienia uprasza się kierować pod adresem:
Magistrat miasta Torunia
VI. Wydział Dóbr i Lasów

ŻYWE zające i bażanty OBROŻNE

dostarcza po cenach konkurencyjnych

Hodowla zajęcy (Park zajęczy) i bażantów

Edwarda hr. Raczyńskiego

w Dębicy.

ŻĄDAĆ CENNIKÓW.

ŻYWE zające leśne, polne i samce odstrzałowe, kuropatwy, bażanty, jelenie, daniele, dziki, sarny polne i leśne oraz nasiona i rośliny pastewne dla zwierzyny jak i sadzonki drzew i krzewów dla remiz z terenów należących do P. P. Członków

poleca

INSTYTUT ŁOWIECTWA

Warszawa, Nowy Świat 35.

Dla specjalnych celów odświeżenia krwi i na wyraźne żądanie Instytut dostarcza również wszelką zwierzynę importowaną.



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.